

W NUMERZE:

J. B. OZOG — Hej, ty baco, baco nie nasz!... Z. ZALEWSKI — W Iraku też są kamieniolomy
T. MICHNIAK — Epopeja chińskiej reformy rolnej M. INGLOT — Erenburg — pisarz pokoju
J. RURAWSKI — Niewykorzystane możliwości S. WYGODZKI — Od przeszłości do teraźniejszości
W. BILLIP — O drodze powrotnej H. PAWLAK — Pierwsza szychta A. SKIBA — Płomienne serce
J. POGAN — Ludowa pieśń masowa G. BIDWELL — „Zbrodnia” i kara

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok X

Warszawa, dn. 11 stycznia 1953 r.

Nr 2 (388)



BOLESŁAW STRUŻEK

RYNEK — REGULUJĄCA ROLA PAŃSTWA — INTERESY CHŁOPÓW

(Na marginesie Uchwały Rady Ministrów z dnia 3 stycznia)

KAZDA gromada ma swoich Jankowskich — małorolnych chłopów, każda gromada ma swoich Parzyszków — średniorolnych chłopów, ma też swoich Bilińskich — kulaków. Jak w Polsce burżuazyjnej byli oni powiązani z rynkiem kapitalistycznym i jakie stąd wynikały konsekwencje ekonomiczno-klasowe?

wszystkich wsiach Polski kapitalistycznej. Kapitalizm włączał w swoją ekonomikę gospodarstwa chłopskie głównie poprzez rynek kapitalistyczny, siłami napędowymi tego procesu włączania była odpowiednia polityka ekonomiczna państwa burżuazyjnego, polityka podatkowa, kredytowa, lichwiarstwo. To włączenie w ekonomikę kapitalistyczną gospodarstwa chłopskiego nieuchronnie prowadziło do wzrostu nędzy w rodzinach małorolnych chłopów, do obniżania ich stopy życiowej, do wzrostu zacofania kulturalnego, nieuchronnie odbrymniała większość średniorolnych rodzin chłopskich spychało do poziomu życia biedoty wiejskiej, umacniało ekonomiczną pozycję kulactwa, zwiększało możliwość wyzysku z jego strony.

burżuazji, gdyż nieuchronnie doprowadziłyby wcześniej czy później do pełnej restauracji stosunków kapitalistycznych. Produkcja socjalistyczna w tej koncepcji, to „opłacalny” czasowo dodatek do ekonomiki kapitalistycznej. Ideologowie „ex katedra” Wincenty Styś i dr. Rajmund Bułwinski stali na gruncie tej koncepcji, gdy twierdzili: „gospodarstwa te (kulackie — S. B.) stosują najbardziej ekonomicznie czynnik ludzki, wykorzystują najlepiej kapitał stały, odgrywają dużą rolę w zaopatrywaniu miast i wojska w środki żywności, umożliwiają kształcenie dzieci w zakresie rolnictwa i innych zawodów, ułatwiają w ten sposób wytwarzanie się z jednej strony warstwy postępowych rolników (tlumacz — kapitalistycznych — S. B.), z drugiej strony silnego mieszczaństwa”.

przychodowości średniaka utrzymy już duże rezerwy towarowe, dużą zamocność i nie małe parcie na rynek. O losie tych nadwyżek nieco później...

Rok 1950 był rokiem nowego przełomu dla rezerw sił roboczych w rodzinach małorolnych. Zaczęło się wielkie budownictwo przemysłowe i lata następnie zaokrągliły grupę chłopów — robotników do miliona, a w latach czterdziestych w umiarkowanie kapitalistycznym podniosły o 3,5 miliona. Zmieniła się zatem struktura zawodowa i klasowa narodu.

Dla małorolnych oznaczało to wzrost obrotów dochodów pieniężnych sięgający w ciągu ostatnich 3 lat — kilku miliardów złotych: I tu zatem uzupełniona została zamocność i rozwinęło się parcie na rynek zakupu.

Dla powiększających się miast, dla wzrastającej dwukrotnie klasy robotniczej jeszcze większego znaczenia nabrał problem produkcji rolnej. A dla całej gospodarki narodowej szybki rozwój przemysłu i rolnictwa i to taki ich rozwój, aby przyspieszał połączenie rolnictwa i przemysłu w jednolitą całość gospodarczo-narodową.

Celowa, gigantyczna budowa socjalistycznego przemysłu z góry oczywiste zakładała nierównie, tzn. niższe dla rolnictwa wskaźniki rozwoju w okresie Planu 6-letniego. Ale też tym ostrzej stanęła sprawa osiągnięcia przez rolnictwo poziomu wskaźników jego planu, a więc wydobycia się z nadmiernego opóźnienia się rolnictwa.

Już koniec roku 1950 ukazał wsi jak skokowo rosła potrzeba rynku miejskiego i jak bardzo trzeba wzmocnić produkcję rolą dla braci robotników. Rok 1951 przyniósł katastrofalną posuchę. Pogłębiła ona i zaostriżyła trudności w zaopatrzeniu klasy robotniczej. Zaostriżyła, bo takie warunki sprzyjały dla wzrostu cen wolnorynkowych na artykuły rolne. A wzrost ten spotęgowała rozwinęta spekulacja i wroga plotka, Kulak i spekulant znów wychylił łeb. Kulak, ograniczony w nadmiernej zyskach i wyżysku w samej produkcji, wykorzystał procesy przemian struktury klasowej naszego społeczeństwa, proces gwałtownego powiększenia się ludności miast. Tu otwarta się dla niego szelmina, aby w spójnie ekonomiczną miast i wsi wnieść anarchię wolnorynkową, elementy żywiołowości i spekulacji.

Robiąc znów paskarskie interesy wznosił element kapitalistyczny, stwarzał wespół ze spekulantem miejskim warunki zagrożenia i niebezpieczeństwa dla spójnie ekonomicznej między miastem i wsią, opartej o stały i określony wzrost produkcji tu i tam, opartej o wymianę wzajemną, w której, jeśli idzie o wieś, wzbiorą w pierwszym rzędzie miast i wsi podstawowa masa chłopstwa pracującego. Ożywił się też „w gębie”. Słyszeliśmy Bilińskich. Dobrze rozumieli, że na rynku państwo ludowe ma pewne zabezpieczenie dla świata pracy w postaci dostaw obowiązkowych, i że logika rzeczy wymaga wzmocnienia tej więzi, spójnienia nią mas chłopskich ze swoimi państwem, widział, że rozwija się kontraktacja, ta wyraźna forma umów dobrowolnych z państwem, ginie zatem w chłopie dusza handlarzka a rozwija się producenta, który coraz chętniej

idzie na umowy i dostawy wiązane.

Cóż więc rozgłaszali Bilińscy? Zmienił hasło „więcej z hektara” na hasło „mniej z hektara, a więcej za hektar”. Trudny był rok 51, rok posuchy. Ale Jankowski nie zmienił swego poglądu: dwóch jego braci pracują w przemyśle, rodzice i siostra gospodarują w Olsztynie. Jankowski nie osłabił sojuszu robotniczo-chłopskiego, nie rozluźnił spójności między klasą robotniczą i chłopstwem.

Parzyszek? Który? Ten mniejszy — podobnie. Ten większy, jak mu się wydawało nadal był za sojuszem, za jego umacnianiem, ale co do spójności ekonomicznej? „Nadarza się okazja, pominać? Ma to sam Biliński korzystać?” Skorzystał i on. Tak to narodził się jego gospodarka.

Table with 6 columns: Rok, Zbiór z 1 ha, Zbiór globalny, na zaszew, odowiazkowe dostawy, do osobistej dyspozycji. Rows for 1951 and 1952.

stąpił znaczny wzrost dochodów zamocniejszych chłopów „kosztem” uszczuplenia dochodów klasy robotniczej, a został obrócony przeciw małorolnym na rynku zakupu towarów konsumpcyjnych.

Należy dziś przypomnieć, że właśnie już w 1951 r., kiedy podniosła się rozwydrzona spekulacja, kiedy szerzyć się zaczęła anarchia wolnorynkowa, mało i średniorolni chłopcy w oparciu o pomoc klasy robotniczej poprowadzili walkę z kulactwem i spekulantstwem, wygrywając wielką bitwę klasową o planowy skup zióła i kartofli. W toku tej bitwy odkrywali prawdziwe oblicze gospodarce i politycznej dywersji kulactwa. Oczom ich ukazały się „magazyń” deficytowych towarów przemysłowych, ukazały się zapasy zbożowe, przeznaczone na spekulację. U takich właśnie Bilińskich, którzy w spółdzielni mawiali ostentacyjnie „Na to mi przyszło, że chleb muszę kupować... bo za robotnicze nawet ksiądz w Kamiance nie płaci tyle, co ja”.

Trzeba też przypomnieć, że kiedy Rząd zastosował w 1951 r. częściową reglamentację podstawowych produktów konsumpcyjnych, aby doraźnie zahamować spekulację i oporować zakłócenia, a niezbędną równowagę w rozwoju planowej gospodarki narodowej przez państwo gospodarki narodowej, to w wielkiej i zwycięskiej bitwie chłopstwa o planowy skup zboża wyraziła się druga strona polityki ekonomicznej państwa i nowe jej osiągnięcia, albowiem postępował wzrost wiązania się drobnotwarowej gospodarki chłopskiej z państwowym i spółdzielczym handlem przez rozwój kontraktacji i ponadplanowych dostaw. I listy chłopów korespondentów poprzedzili w swoich projektach ustawy państwowe o obowiązkowych dostawach mięsa i mleka.

Wyraziło się w tych projektach zrozmienie dla nowej ekonomiki, ściślej łączącej drobnotwarowy układ w rolnictwie z układem w socjalistycznym przemyśle. Wyraziło patriotyczne pragnienie ubezpieczenia klasy robotniczej, która w daleko w większej mierze przyczynia się do rozwoju gospodarki kraju i wyraziło potwierdzenie wezwania, już dawniej

przez państwo rzuconego: „więcej z hektara”, jako jedynie słusznej drogi do podniesienia własnego dochodu i wytworzenia akumulacji dla rozwoju siły i wielkości naszej ojczyzny.

Należy więc przypomnieć i to, że planowy skup i obowiązkowe dostawy, przy równocześnie wyższym poziomie cen na artykuły rolne kontraktowane, stwarzały bodźce do wzrostu produkcji oraz realne możliwości jej podniesienia. Ta bowiem reglamentacja dostaw państwowej pomocy dla produkcji chłopskiej w maszynach POM-u, GOM-u, zaopatrzeniu w środki produkcji, obsłudze agrotechnicznej itd.

I nasz Parzyszek z Sobolewka może poświadczyć skrzyżnymi zapiskami, jak to jest z jego gospodarką.

Tabela ta, wyprowadzona z jego zapisków wskazuje, że Parzyszek był zainteresowany we wzroście globalnej produkcji zboża. Im większa produkcja, tym bardziej obniżał się odsetek zboża, przeznaczanego na skup, tym bardziej zwiększała się część produkcji zboża, pozostająca do jego osoli stę dyspozycji. Wraz z tym wzrastała możliwość rozszerzenia hodowli, a więc dalszego wzrostu osobistych dochodów i wszechstronnego rozwoju produkcji rolnej.

Toczyła się więc na przestrzeni ostatnich trzech lat, pierwszych trzech lat Planu 6 letniego, walka Janowskich i Parzyszków z Bilińskimi na wsi.

Nadmierne opóźnianie się rolnictwa trwa jeszcze, ale w wysiłkach Janowskich i Parzyszków widać dynamikę wzrostu. Tej dynamice przeciwstawiał chłopi Bilińscy spekulację i anarchię na rynku: aby demobilizować rozpęd produkcję chłopską. Częściowa reglamentacja okiełznała ich na trochę, ale i przy sztynnych, wyrównawczych cenach wolny rynek nie przestał być ich lupem. Na dłuższą metę mogli liczyć, że proces przepompowywania części dochodów klasy robotniczej do kieszeni kulaków i zamocniejszych średniaków przyberze większe rozmiary, hamując rozwój produkcji w średniaków i zainteresowanie ich osobiste dla wzrostu produkcji. Chcieli liczyć na osłabienie produkcji u małorolnych chłopów robotników, których wzrost dochodów pieniężnych z pracy w przemyśle mógł prowadzić do zaniedbania gospodarki. Chcieli liczyć na „zamkniętą perspektywę” rynekowa dla chłopów pracujących, tych porządnych, którzy poza skupem i kontraktacjami widzieli nie wolny rynek a półlegalny, albo i czarny. A przy braku perspektywy na wolny rynek, słabnąć muszą u indywidualnego chłopca bodźce do wzmaganie produkcji. Dokładali się też Bilińscy wespół ze spekulantami miejskimi, aby chłopom albo usuwać z przed nosa towary deficytowe, albo sprzedawać po rozwydrzonych cenach.

Robił co mogli na rynku półlegalnym aby, odbierając robotnikowi (Dokończenie na str. 7-jej)

Z inicjatyw wsi ludowej, pod kierownictwem klasy robotniczej i przy poparciu mas pracujących chłopów została zlikwidowana własność obszarnicza i wielkich kapitalistów w mieście. Powstał nowy układ gospodarki socjalistycznej; w mieście bardziej rozległy i szybko się rozwijający, na wsi w stanie załagowym. Na wsi zachowała się drobna własność chłopów małorolnych i średniorolnych, pomnożona przez reformę rolą odciążenie wsi i pomoc produkcyjną państwa. Zachowały się również gospodarstwa kulackie. Wzłączył wieś drobnotwarową w całość ekonomiki narodowej można było tylko przy pomocy wymiany towarowej, tzn. w oparciu o rynek, ceny i pieniądź. Zachowanie wymiany towarowej było potrzebne zarówno Jankowskiemu, Parzyszkowi, jak też i Bilińskiemu. Wspólną bowiem podstawą tych trzech różnych gospodarstw jest prywatna własność środków produkcji. W fabryce opartej o państwo, socjalistyczną własność środków produkcji poszczególne robotnik i grupy robotników nie produkują z myślą o sprzedaży wytworów swej pracy. Motywem ich działalności produkcyjnej jest bezpośrednio zaspokojenie potrzeb społeczeństwa. Natomiast tak Jankowski, jak Parzyszek produkują przede wszystkim z myślą zaspokojenia swoich osobistych potrzeb, Biliński zaś — głównie z myślą o zysku spekulacyjnym.

Jaki był klasowy postulat Bilińskiego w odniesieniu do rynku, jaka była jego klasowa koncepcja wymiany towarowej? Była to koncepcja żywiłowego handlu, koncepcja kształtowania się cen jedynie wg prawa podaży i popytu, z niskimi cenami po zbiorach, z wysokimi cenami na przedwzrostku, z nieograniczoną niemal możliwością podnoszenia tych cen. Ta koncepcja, otwierająca przed Bilińskim wielką perspektywę... Zlikwidowany wszak został główny konkurent, hrabia Żółtowski w Kocku i... na Budach oraz Zamojski w Kozłowie, a Parzyszek, a tym bardziej Jankowski — to żadni konkurenci. Biednych do „odrobku” na wsi nie zabraknie, głodnych w mieście również. Koncepcja ta odpowiadała temu wszystkiemu, co było starego i wrogięgo w naszym społeczeństwie. Odpowiadała ona elementom kapitalistyczno-spekulacyjnym miast, wywyższonej

Zacznijmy od sprawy ostatniej — chłopskiej produkcji drobnotwarowej, jako produkcji sojuszniczej.

W 1950 r. po opłaceniu podatku gruntowego przychodowości gospodarstwa Jankowskiego wzrosła o 2/5 w porównaniu z 1949 r. (w skali krajowej przychodowości małorolnych wzrosła o 38,9 proc.) przychodowości gospodarstwa Parzyszka wzrosła o blisko 1/3 (w skali krajowej przychodowości średniorolnych wzrosła o 29,5 proc.), a przychodowości gospodarstwa Bilińskiego wzrosła o 1/20 (w skali krajowej w gospodarstwach kulackich o 4,6proc.).

1/3 i 3/5 to wielkości zbliżone (5 i 6 piętnastych). Jeśli więc przyjąć dla schematycznej orientacji, że gospodarstwo średniackie większe jest tylko dwa razy od małorolnego, to w

(Materiały z III Sesji Rady Naukowej dla Ziem Odzyskanych).

Laureaci Nagrody Stalinowskiej

GEORGE BIDWELL

PŁOMIENNE SERCE „Z BRODNIA” I KARAR

KROTKA notatka w encyklopedii zaczyna się od słów: „Robeson, Paul, ur. w 1898 r. w Princeton, stanu New Jersey, jako syn zbiegłego niewolnika...”



Paul Robeson

Wybudował „ojczyznę wolnych”. Wolnych? O, niech Ameryka będzie znów Ameryką —

Krajem, którym nigdy nie była — Lecz będzie — Ziemią, gdzie każdy jest wolny. Ziemią biedaka, Indianina. Murzyna Kłórzęsy wytworzyli Amerykę... Nie, nigdy Ameryka nie była dla mnie Ameryką.

Nie była moją Ameryką — Ale przysięgam — Będzie!

Robeson śpiewem swym głosił tę prawdę calemu światu.

Przyszła wojna. Pieśń Robesona sięgnęła poprzez oceany. Śpiewał Amerykę wolnych, śpiewał chwałę wielkiego narodu, który niegdyś posągi królów przetapiał na kule rewolucji, a teraz, choć sam w niewoli, walczył o cudzą i własną wolność.

Aż przyszedł pokój — pokój zimnej wojny. Apokalipsa zalewała Amerykę. Z drapaczy Wall Street wytryskał pomiot zbrodni, w orpki fallcznej przyjął brudne niebo Nowy Jork, by cuchnącym strumieniem napalmowej śmierci opaść na krańcach globu.

W porcie notoforskim robotnicy walczą o pokój. W stalowniach Pittsburga, w reżniach chicagowskich, przy kompuerach Forda i General Motors w Detroit — budzi się Druga Ameryka. Głos jej dźwięczy grubym powroź policyjnego terroru. Tłumi lepka wata propagandy plunącej ze wszystkich głośników, ze szpał gazet, z ekranów i kazałnic. Ale nieustający płomień buntującego się sumienia kraju przepala ją warstwą po warstwie.

Robeson, Du Bois, Charlotta Bass, Pettis Perry, Lloyd Brown, Henry Winston i tysiączne zastępy młędzi znanych działaczy murzyńskich dają świadectwo słowom Langston Hughesa, że Ameryka, którą tworzyli i tworzą, będzie znów Ameryką. I że wielkim zaczynem wolności tego kraju są jego obywatele murzyńscy. Odważą wystąpić, odważą fizycznie — wobec groźby faszystowskich terrorystów i spryskanej z nimi policji, ofiarnością i niezmordowaną energią, Paul Robeson — podobnie jak W.E.B. Du Bois — dorasta dziś młody teo obrzyma historii Stanów Zjednoczonych, jednego z największych Amerykanów i największego murzyńskiego rewolucjonisty — Fredericka Douglasa.

Naszych pieśni śpiewać nam nie dają... Boją się, bracie-Murzynie, Naszych pieśni boją się, Robesonie!

pisal z celi więziennej Naztm Hikmet. Rząd Trumana dot się śpiewaka. Departament Stanu odebrał mu paszport. FBI zabrania jego koncertów. Można kazać zamknąć głośniki, niepodobna zatrzymać bicia serca Ameryki. A gdy bije ono w rytm pieśni pokój, którą teo policjant chce wtłoczyć w gardło pieśniarza — pieśń rozbrzmiewać będzie nawet bez słów.

Gdy Ameryka była jeszcze Ameryką, przed z górą stuleciem, pisal wielki Walt Whitman:

„Nadchodzi czas, kiedy wojna, ze swym orszakiem krwawych okropności, będzie obyczajem odrzuconym przez narody ziemi. Nowa i lepsza filozofia ukazuje jakim ziem jest zabójstwo i masakrowanie braci pod pozorem jakichś sporów między ich władcami — i topi starożytne przepisy w tym względzie, jak ciepło wiosenne topi zamrażalną glebę. Ten kto kocha swój lud, czyliż nie widzial wokół siebie tysięcy ludzi, których płomienne serca ugniotła w kurz żelazna stopa ucisku? Czyż nie widzial jak króle i kapłani odchodzą piękne okolice globu, kuja łańcuch i utwierdzają jarzmo? I czyż nie odczuł, że lepiej jest żyć w palącym tchnieniu wojny, niżli w niewolniczym? Walki o to, by nowa filozofia zwyciężyła w pełni i panowanie pokój między ludźmi nigdy zakłócone już nie zostało”.

Zbliża się wiosna pokoju. A płomienne serce pieśniarza swym tchnieniem gorącym przyspiesza jej nadejście.

ANDRZEJ SKIBA

„KARTY te są nabrzmiałe jeszcze jedno pytanie — jakie są losy obecne przywódców Brygady Lincoln? Są wszędzie, gdzie wolnościom ludzi zagraża niebezpieczeństwem, wznoszą standardy demokracji, gdziekolwiek faszysty chcą ją zadławić, jak w 1936 — są bojownikami pokoju i wrogami faszystwu. Tworzyli milowy krąg ochrony słynnego koncertu Robesona w Peekskill, byli na sali sądu, przed którym postawiono Roberta Thomasona i Johna Catesa. Niedawno znów pięciu z nich osadzono w więzieniu za akcję pokojową, za zwalczanie faszystwu. Wyrok najcięższy, dziki wyrok dwudziestu lat więzienia — niemal dożywocie — spotkał ciebie i robotnika stalowni, podpułkownika i jednego z ukochanych dowódców Brygad Międzynarodowych — Steve Nelsona.

Tak pisał znany literat i publicysta amerykański, Joseph North, omawiając na łamach „Political Affairs” książkę „Serce Hiszpanii” wydaną niedawno przez grupę weteranów Brygady Abrahama Lincoln. Blisko stu pisarzy, poetów, dramaturgów, dziennikarzy, polityków i żołnierzy z różnych krajów i różnych poglądów wyraziło zgodę na przypomnienie w tej książce tego co pisali o hiszpańskiej wojnie domowej. Są wśród nich komuniści i niekomuniści — Pablo Neruda, Aragon, Passionaria, Alvarez del Vayo, Herbert L. Matthews (korespondent New York Timesa), Erenburg, Dorothy Parker, Eslanda Robeson, John Gates, Steve Nelson.

Odwaga, której przejawem jest wydanie książki, napawa optymizmem i wiarą. Zgadza się się w chwili obecnej na wznowienie ich głosów bijących w faszystwu, współautorzy, zwłaszcza mieszkający na obszarze Stanów Zjednoczonych, rzucili rękawicę faszystowskim łowcom głów w USA. Żaden wydawca nie chciał tam tknąć tej książki. Poddali się woli FBI, świadome, że czytając o Madrycie 1936 roku Amerykanie lepiej zrozumieją Phenian. 1952. I zechcą przeszkodzić powtórzeniu się tragedii w nowych Hiszpaniach.

ZBIGNIEW ZALEWSKI

W IRAKU TEŻ SA KAMIENIOŁOMY...

Ubrzegu Eufratu rozbito bawki. Znow obcy żołnierze rozgłosili się między wzgórzami. Kanakin a srebrystą rzeką.

Murman wywyższył moźliwość zarobku. Wieczorem olśni matkę filsam — odzgnia nieuszczęśliwe siostry Fatymy. Ona nie może być sprzedana jak Abia, której nie potrafił przyjąć wtedy z pomocą.

Na myśl o stracie ukochanej, Murman zagryza wargi. Aie od chwili rozstania z Alba, zahartował się w buncie i walce. Jego mięśnie wytrzymały walczyć przeciw w kieracie szelki Neiera Goghena, dopóki ten po sprężeniu pomp mechanicznych, nie wyrzucił go wraz z trzydziestoma chłopakami precz, na głodową pustynię. Głowa mocno osadzona na przęnej szyi dźwigała nieraz kesze daktyli i mango, stopy depiały długo rozpalony asfalt bogatych dzielnic zanim nie przepędzono go pałkami z Kanakin.

Wtedy powrócił na nędzny skrawek ziemi, bezlitośnie spalony przez słońce by wydzierać zeń chleb dla swych najbliższych.

Wychyla się teraz ostrożnie poprzez krawędź góry zza której widnieją namioty brytyjskich żołnierzy. Pustynia zdaje się drzeć od tropikalnej gorączki, powietrze wibruje srebrystobłękitnymi zytkami, stwarzając złudzenie rozpylonego oceanu. Na terenie odrutowanym kołczastymi zwojami, wśród płociennych domków, czerwieniącej helmy angielskich żandarmów. Murman zreżnie przesuwając się między wartą a kłębowskiem żelaza. Już jego palające żądzą zarobku oczy ujrzały dale pustą wiaדרa. Niedbaly gest, białego jak piasek sierżanta, zezwała na ich zabranie.

Chude stopy młazdzą gwałtownie pustynny żwir, jest już poza strzeżonym terenem zachebów. Do Eufratu jest tylko kilka kroków. Wtem zza rozłożystego figowca ukazuje się postać hinduskiego żołnierza, jego ramiona są ozdobione czerwonymi znakami i tygrysiu opasują tulów chłopaka.

— Ente magnuna! — rechocze, złowieszco patrząc w przelknięte oczy nosiciela wody:

— Nie masz prawa w swe brudne łapy brać wiaדר, rozumiesz?

Hindus liczy około dwóch metrów i Murman kapituluje. W głowie coraz gwałtowniej powstaje szalona myśl rabunku. Jutro po Fatymę przyjdzie Jaaydi. Będzie długo targował się z matką ab matką oślepioną pieniędzmi uległ... Fatyma nie będzie już miała siły płakać, z wyrzutem spojry na nich obajga i odejście na zawsze.

Noc zapadałi raptownie jak czarne stado sępów, których wrzask szarpie naprężone nerwy Murmana. Oczy chłopaka świdrują gęstą masę nocy poprzez którą błyszczą światelka obozu. W dzień spostrzegł w jednym z namiotów kasę pełną dynarów z podobiznami syna królewskiego — Faj-sala.

— „Wyrokiem sądu skazuje Murmana E. na pięć lat robót w kamieniołomach”.

Dwóch o znuzonych minach asesorów patrzyło nieżywym oczyma w postać oskarżonego. W dusznej sali brzęczały wielkie, błękitne muchy, opędzał je na białe ubrania woźny o twarzy podobnej, zdawało się Murmanowi, do bryki kiedyś znalezionej w dziedzińcie bursztynu. Nie pytano się nawet dlaczego kradł i po co potrzebne mu były pieniądze. Wyrok był już przewidziany od dawna w ramach nieujętego regulaminu,

Ukazanie się książki nasuwa jeszcze jedno pytanie — jakie są losy obecne przywódców Brygady Lincoln? Są wszędzie, gdzie wolnościom ludzi zagraża niebezpieczeństwem, wznoszą standardy demokracji, gdziekolwiek faszysty chcą ją zadławić, jak w 1936 — są bojownikami pokoju i wrogami faszystwu. Tworzyli milowy krąg ochrony słynnego koncertu Robesona w Peekskill, byli na sali sądu, przed którym postawiono Roberta Thomasona i Johna Catesa. Niedawno znów pięciu z nich osadzono w więzieniu za akcję pokojową, za zwalczanie faszystwu. Wyrok najcięższy, dziki wyrok dwudziestu lat więzienia — niemal dożywocie — spotkał ciebie i robotnika stalowni, podpułkownika i jednego z ukochanych dowódców Brygad Międzynarodowych — Steve Nelsona.

Za co sąd Stanów Zjednoczonych wymierza dwadzieścia lat? Ze swej celi więzienia Allegheny w Pittsburgu (Pensylwania) Nelson pisze do przywódcy brytyjskiej klasy robotniczej, Williama Gallachera: „Zarzucono mi w akcie oskarżenia, że przeciwstawiłem się wojnie na Korei i że zbieraliśmy podpisy pod Apelem Sztokholmskim. Przyznałem, że jestem przeciw wojnie w Korei, ale przypomniałem, że przestępcy zasiadają na ławie oskarżycielskiej. Za to dostanę 20 lat”.

Taka jest w USA kara za opór narastaniu faszystwu na ziemi Lincoln, za opór stawiany prowadzeniu i podtrzymywaniu agresji i wojny w Korei, Vietnamie, Indochinach, Malajach, podtrzymywaniu Franco, Tito i Czang Kai-szeka, kara za opór stawiany rozpętywaniu odwołowej wojny w Eu-

ropie, do czego zmierza odbudowa Wehrmachtu.

Natychmiast po wyroku wtrącono Nelsona do pojedynki, gdzie roił się robactwo. Zabroniono mu spacerów na podwórzu więziennym, jako pozywienie dostaje chleb chudą kaszę i lurową zupę. „Dokładnie tak samo traktował więźniów - antyfaszystów Mussolini” — pisze Nelson.

Daleki jest jednak od rozpaczy, choć Sąd Najwyższy USA odrzucił jego odwołanie. Ze swej samotnej celi wspaniałej, bojowy antyfaszysty pisze listy pełne nadziei i otuchy, śle wezwania do wszystkich ludów świata i nawołuje do przeciwstawiania się wszystkim siłami i przy każdej okazji próbom imperialistów zdławienia walki o pokój, walki z odrastającym faszystwem. W liście do Gallachera ten prawdziwie świetny Amerykanin mówi: „Organizujcie grupy do wsparcia naszej walki”. A w liście do byłego korespondenta angielskiej agencji Reutersa, Johna Peeta, który w 1950 r. otrzymał prawo azylu w NRD, Nelson zwraca się już nie tylko do towarzyszy z Brygad Międzynarodowych: „Pewien jestem, że robotnicy ze związków zawodowych i młodzież zwalcząca młodzie, chętnie nam dopomogą. Nie pozostawiaj tej sprawy trochę paru osób”.

Nelson zwraca się do każdego z nas o poparcie go i poparcie innych przywódców klasy robotniczej w USA w walce z faszystwem, walce z knutymi na Wall Street palcami III wojny światowej, walce za wielką sprawę pokoju: „Przeczytajcie niedawno ostatni list Thaelmanna, pisany w hitle-

rowskim więzieniu. To przejmujący list. Pomyślałem, że gdybyśmy mieli się zdobyć na nieco większy wyśitek, kiedy był jeszcze czas (przed wojną) byłibyśmy go uratowali. Mówiąc „my” mam na myśli międzynarodowy proletariar. Niestety w owym czasie nie uświadamialiśmy sobie w pełni co znaczy faszystm. Teraz jednak cały świat powinien już o tym wiedzieć. Możecie pomóc”.

Istotnie możemy pomóc. I właśnie w sposób, jaki wskazuje Nelson — przez organizowanie protestów przeciw brutalnemu skazaniu człowieka, który w wspólnej nam wszystkim sprawie — i jego, i Twojej, i mojej, i każdego z nas — walczył tak bohatersko, walczy nawet teraz w więzieniu i walczyć nie zaprzestanie. Protesty należy adresować: Governor Fine, Pennsylvania State Capital Harrisburg, Pennsylvania, USA.

Na Kongresie Wiedeńskim wniośsty ostrzegawczą dłoń narody świata. Wniośsty się miliony rąk zjednoczonych w jedno, miliony rąk ludzi wszelkich przekonań politycznych i religijnych. My szeregowi w walce o pokój, musimy wykazać imperialistom USA zasięg i potęgę sił pokoju. Sposobności dostarcza nam sprawa Nelsona, sprawa Johna Gates, Roberta Thomasona i tylu innych więzionych za to, że stali w naszych szeregach. Więzionych dlatego, że walczyli o wolność, demokrację i pokój biorąc za dewizę słowa Toma Paine'a: „Ojczyzna moja jest wszędzie, gdzie nie masz wolności”.

George Bidwell

Murman nie próbował nawet wniknąć w istotę prawa. Wiedział, że le-ras Fatymy nic nie uchroni, o reszcie w tej chwili nie dbał — Ale też to spotkało i nie poradził się zdołał... Naraz myśl o chorej beznadziejnie matce wznioła w nim, na wół otępiiałym, gorący bunt przeciwko calemu światu.

Powięził go pancernym autem w okolice Kirzabadu. Powterze było przesycone tu pyłem rozbijanych przez więzionych skał o barwie prochu. Zabrzęczały kajdany przykute do taczki i zaczęły do bólu przeguby rąk nowego więźnia.

Obok niego młody chłopak zapytał chrapliwym głosem: — Masz papierosa? bo ja mam trochę araku. Anglicy mi go dają co wieczora... O nic więcej go już nie pytał...



Dni miały płaskie i wyzute z wszystkiego co ludzkie i mające kształt myśli lub uczucia. Starzy powtarzali zwiędniętymi wargami zaklęcia koranu a młodzi rozpijali się przemycanym arakiem. Nikt nie znał poza nimi ceny za jaką go zdobywali. W dni beznamiętne i tepe jak twarze wartowników wdaria się naraz niespokojna dotąd nuta. Z bagdadzkiego sądu przywieziono 38 robotników, największych w Iraku rafinerii naftowych, „Malika Farida” i „Bukra”. Nazywano ich buntownikami, gwałcicielami porządku i woli króla.

Pewnego dnia, gdy słońce sięgało prawie zenitu, Murman obdarzony plackiem kukurydzianym, spostrzegł, jak jeden z nowych więźniów coś z mozołem wykruwa na wielkim kamieniu. Kiedy przelknął ostatni kęs placzka, podszedł zaciękawiony bliżej i począł przyglądać się tym dziwnym zabiegom. Arab uderzał raz po raz i spod żelaznego klina wylaniał się począła pięcioramenna gwiazda. Zrazu ledwo zarzowna, później po każdym uderzeniu młota głębsza i głębsza...

— Co wyprawiasz, Elkajali! — wrzasnął nagle jak słup wyrosły wartownik — pracować do diabła! Odpowiedział mu spojrenie bliższych oczu. Wartownik chwytając karabin wznowił rozkaz:

— Pracować! — albo, wskazał ręką na bezkierowny budynek stojący opodal — do izolatora!

I znów wybuchły przekleństwa. Elkajali wyprostował suche plecy z westchnieniem i kulejąc zabrał się do sortowania rozgrzanych słońcem bryl.

Wartownik spluwając pod nogi więźniów, powłócił się na swoje stanowisko. Murman wtedy przysuwając się ku Elkajalemu, zagadnął: — Co to jest?

— Nie wiesz, nie znasz symbolu wolności?..

Stal wyprostowany w swoim niewielkim wzroście i Murman zauważył teraz dopiero, że jego towarzysz niedoli ma całe ciało posiniaczone grubymi trzcinami.

Murmana ogarnęła fala szczeroci i począł się zwierznać;

— Uciec jak najdalej od tego piekła... — szeptał na wół przylotny.

Oczy Elkajalego spoglądały z ojcowskim współczuciem na chłopaka, potem wzrok jego spowaźniał i wykreślił coś zrazu niepojętego Murmanowi:

— To nie droga do wolności... — Uspokój się... tsss, idzie znów wartownik... Przyjdź nocą do mego namiotu to pogadamy...

Taczki podjeżdżały kolejno i zabierały znów na dalsze sterty kamienie, potem nocą przybdewały wagony i odwozją surowiec do Bagdadu na fundamenty pałaców effendich i jasydich.

Od tej rozmowy minęło kilkanaście miesięcy.

Murman zaprzyjaźnił się z kilkoma więźniami, zesłanymi za bunt w rafineriach naftowych na „Szatańskie kamienie”. Świadomości, jak kropka po kropki drążyła mózg sprawiając coraz większą ból młodemu więźniowi, wywołując jednak poczucie osobistej wartości. Starszy o pięć lat od Murmana Elkajali widział w porcie okręty z czerwoną flagą. Rozmawiał a marynarzami radzieckimi.

— Co to jest komunizm — myślał w pierwszych dniach rozmów z Elkajalim.

— To jest wolność... Fatyma... matka i wszystkie matki i siostry, mające chleba do syta i on nie siedzący tutaj, przykute do taczki — dopowiadał sobie teraz...

Elkajali go zasądził na 6 lat ciężkich robót. Jest staby i małego wzrostu, lecz kiedyś mówi, Murman czuje, jak ten przerasta go o całą głowę.

Często wartownik rzuca niedopałek papierosa

— A ty psie parszywy! — krzyczy wartownik, potem zezwała z uśmiechem wyższości na zabranie niedopałka.

Elkajali nigdy nie podniósł „okurka” i w tym Murman też widzi jakąś dumę wolnego człowieka.

Namioty więźniów są rozstawione co dwadzieścia do trzydziestu metrów od siebie. Naczelnik, kapitan Brian Kent kazał je ostatnio zamaskować w obawie przed nalołami niemieckich bombowców.

Zupełnie zresztą niepotrzebnie, od chwili inwazji na Europę żaden bombowiec nie pojawił się na terytorium Iraku. Natomiast pewnego dnia do obozu przybyła angielsko - arabska ekspedycja.

Młody oficer angielski przechadzał się między więźniami w asyście dwóch arabskich sierżantów.

Dzień był upalny i łańcuchy sprawiały wrażenie rozpalonych ogniem szatańskim, który objął z woli piekła, przeguby rąk skazańców.

Wzrok oficera przesłizgiwał się po twarzach więźniów z badawczą przenikliwością.

— Wody, panie! — wykrzyknął starez z Kanakin'u. Oficer podszedł ku niemu i roześmiał się cynicznie:

— Czy ty jesteś z rafinerii... ze bunt?... oczy starca sucho spojrywały mu w twarz.

— Jest nas około 40-tu... — Yes! Dać dużo wody!..

Dwóch arabskich wartowników schwyliło za wiaדרa... — A ty? — no, czego milczysz?

— Ja... ja nie wiem za co siedzę... — Murman zrobił nagły ruch ręką który z ledwością opanował.

Oficer cofnął się kilka kroków w tył i wykreślił powściągliwym głosem: — Podobasz mi się... Hej rozkuć go, i tego — wskazał ku Elkajalemu.

— Ja siedzę za bunt — oświadczył głucho i utkwil wzrok w pobludnym naraz kapitanie, ten przewycięził się i odpowiedział wolno, akcentując każdą sylabę:

— To nic... jesteś młody i energiczny a ten — wskazał głową ku Murmanowi — zdrow i silny.

— Potrzeba nam policjantów na wyjazd do Indii. No, jak? — przysiął się w tulowiu i pejcem uderzył po udach chłopaka.

Murman nie mógł powstrzymać nagłego wrzucenia. Wolność objawiła się w całej swej wspaniałości: „Moc iść swobodnie, drogą, po której hula hamsin, bez kajdani!”

— No co? — zagadnął znowu kapitan wpijając wzrok w obu chłopaków — zgadzacie się? Tam stawki będą wyższe niż... w rafineriach...

Teraz znów w oczach Murmana wyrosła postać hinduskiego żandarma znad Eufratu i nienawistnie wybuchła jak iskra i zgasia w tłumie tysięcy czarnych i kolorowych twarzy o rysach Fatymy i matki...



— Nie zgadzam się! — Elkajali cofnął się o krok ku taczce.

Kapitan począł z listy wyczytywać nazwiska.

Pięćdziesięciu Arabów patrzyło zimno w twarz Anglika.

— To wszystko prawie z tej rafinerii naftowej — podszepnął do ucha kapitanowi jeden z sierżantów.

— Wiem! Właśnie przede wszystkim chodzi mi o nich... Niezły element do buntujących się Indii... Anglik z uśmiechem spojryał w ich stronę, wycekując spokojnie odpowiedzi. Był prawie pewny wygranej. Wystarczy spojrzeć na ich wynędzniałe twarze i łańcuchami styrane ręce żeby mieć pewność zatłnienia sprawy. Zawsze przecież w takich razach się zgadzało...

— No, czego milczycie?!!

Mijały sekundy i minuty, było coś niebezpiecznego w tym zniechęcającym trwaniu więźniów, mimo woli rzucił wzrokiem na wyloty thompsonów.

— All right! Dawać Jęp! — wykrzyknął w stronę garażu.

Zaturkotał motor i kapitan drżącymi dłońmi zatrasnął drzwielki kabiny. Na niebie od strony wschodu nadpłynęły pierwsze deszczowe chmury. Nocą zdwojono posterunki,

Zbigniew Zalewski



Mal. W. Gerson



JÓZEF POGAN

LUDOWA PIĘŚŃ MASOWA

NIEDAWNA dyskusja w warszawskim ZLP na temat pieśni masowej i zamieszczony w „Nowej Kulturze” artykuł — głos dyskusyjny Anny Kamińskiej nasunęły mi myśl zaproszenia do pogawędki o tak istotnym i ważnym zagadnieniu harmonisty, „układacza” i popularyzatora rozpowszechnionym w tutejszych okolicach pieśni — Józefa Szlachty. Warto chyba w obręb oficjalnej dyskusji wciągnąć także doświadczenia i spostrzeżenia „praktyka pieśni masowej” w terenie, oryginalnego wiejskiego pieśniarza, który tematy do swej samorodnej twórczości i popularyzacji tekstów czerpie z wydarzeń codziennego życia naszej wsi.

A oto kilka rysów portretu naszego pieśniarza. Mieszka on obecnie w Smardzowicach koło Ojcowa, pracując na trzyhektarowym gospodarstwie, które otrzymał z majątku Czartoryskich podczas reformy rolnej. Wiele czasu poświęca czytaniu, Słachtę, jakkolwiek bez regularnego wykształcenia, „zna się” co nieco na piosenkach, gdyż niejedną z nich sam spopularyzował lub stworzył, a przede wszystkim posiada dobre wyczucie rodzimej tradycji chłopskiej, rozumienie dla najzupełniej zainteresowanej wsi. Trzeba bowiem pamiętać, że wiejski pieśniarza i śpiewacy korzystają nie tylko z ogólnonarodowego repertuaru, ale uzupełniają go często stworzonymi dla własnej potrzeby nowymi utworami lub też przerabiając dawne, przestarzałe piosenki, przepajając je nowymi treściami społecznymi. Pojawiający się gdzieś niedługo wiejski układacz piosenek ma, zdaje się, często lepszy gust, a przede wszystkim wyczucie potrzeby postępujących treści wyższe od niektórych naszych zawodowych pieśniarzy. Dlatego warto się im przypatrzeć, a może i trochę od nich nauczyć — jeśli nie w zakresie dobrego ujęcia artystycznego, to na pewno w dziedzinie wyostrenia świadomości klasowej, przenikliwej oceny politycznej, zrozumienia węzłowych konfliktów toczącej się na wsi walki.

Przysłuchujmy się zaprezentowanym przez Słachtę choć paru piosenką i przyspiewkom. Wprawdzie niewiele jest wśród nich oryginalnych, ale mamy tu możliwość obserwowania niezwykle ciekawego procesu PRZEBRAZANIA I PRZETWARZANIA STARYCH, czestokrot narzuconych dawniej ludowi przez klasy posiadające, tekstów piosenek. Pojawiają się one dziś znowu — dzięki samorodnym pieśniarzom — w nowej szacie, przepojone nową, często bojową treścią polityczną, nie mając już prawie nic wspólnego — poza melodią oczywiście — ze starymi tekstami, często gloryfikującymi nierówności społeczną, zamazującymi klasowe oblicze wsi, Ciekawych wniosków może dostarczyć nam prześledzenie tych dokumentów twórczej immencji ludowych pieśniarzy, bezkompromisowych w politycznej i moralnej ocenie kulackiego i spekulacyjnego wyzysku, oszustwa, fałszu.

Piosenkę z przedwojennego śpiewnika:

„Mówiłam ci mój Kasperku
Nie przegładaj się w lusterku,
Bo choć-ś na gęble ładny
Nie dostaniesz panny żadnej.
Bo z urody coś ni-bole
Ładnej gęby nie zaorze...”

a więc wyraźnie mówiąca o niemożliwości zawierania małżeństw między biednymi i bogatymi, obecni wiejscy pieśniarze przerobili w ten sposób:

„Mówiłam ci mój Kasperku,
Nie zajmuj się macherką,
Bo choć się dobrze bogacisz,
Wnet opinie u ludzi stracisz.
Bo z macherki, oj, niecnoto,
Nie na wieki kapie złoto,
Wnet przyjdzie na ciebie pora
Pójdziesz do prokuratora”.

Albo tę o pewnym staruszku, co to „przez pola, lasy spieszył do wioski ten sługa boski...”, a gdy syn się wykształcił, wyrzekł się ojca-chama, a Bóg spuścił na jego dom piorun” — przerobiono w ten sposób:

„Był pewien kulak... zwał się Jakubem,
Od niego sotyś miał wciąć w czubie,
W zapisach pola za to ujmował,
I w skupie zboża się mu folgował.
Paś się więc kulak, pieniądza zbijał,
A sotyś codziennie u niego pijał.
Spoleczna kontrola wnet w to wglądnięta,
Obu szkodnikom nogi podcięła”.

A oto ironiczna kpina z kulackich nadziei odwetu — w takt popularnej piosenki:

„Pije Kuba do Jakuba, bo to dwa kulaki —
Przyjdzie czas, że działom damy się w znak!
Lecz nie dadzą rady, bo gdzieś są te działy,
Co dawniej grubym kulakom ucierały zady?”

Krakowiaczka z siedmioma konikami, co to gdy „pojechał na wojnę...”, został mu się jeden” — też przerobiono na kulaka:

„U nas kulak jeden miał wieprzaczko śledem,
Gdy przyszedł do skupu został mu się jeden.
Sześciu pokryjomu sprzedał, pozabijał,
Oj, chytry ten kulak, ta wsiowa bestja.
Kontrola nie spała i znalazła mięso,
Aż się na kulaku portki w strachu trzęsą”.

Nie ostalo się też to „Nieorane polisie”, w nowej wersji już nie tylko całkiem zaorane, ale i pięknie zabronowane Tak ono teraz wygląda:

„Czyż to polisie zaorane?
To naszej spółdzielni? tak
Zaorane, zbrane całusienkie,
Wyczesane broną zaorane
gładziusienko.
Kółko się nie łamie, rafa nie spała,
Za motorem skłby plug układa”.

Popularna jest też piosenka, choć na wzór dawniejszej: „A moja dziewczyno, moje sto tysięcy, ułożona:

„A moja dziewczyno, nie nas nie rozdziela,
Chyba kawał drogi i dni przed niedzielą.
Gdy dawniej na służbie gniebła cie dola,
Cóż mi było z ciebie, jak nie miałas pola?
Dziś mi niepotrzebne, ni majątek żaden,
Bo w Polsce Ludowej damy sobie radę.
Damy sobie radę, bo pracy wszędzie dość,
A szczęście, to praca i serdeczna miłość.
Dawny smutek co ci drążym sercem targal,
Odpędz gorącym całusem na wargach”.

W ujęciu owych wiejskich twórców piosenek, teraz wcale nie „ładnie na wojenke” i wzorowana na niej oryginalna piosenka brzmi tak:

„Jak to na wojenke strasznie,
Kiedy bomba w szpital trzaśnie,
Chorzy w boleściach się wija,
Lotry w nich kulami blja,
Choć narody protestują,
Lotry nadal bombardują,
Wnet będzie koniec tej męce,
Pokoń ludy ujmą w ręce”.

zaś tę: „Wojenka, wojenka, coż ty za pani?” — przerobiono w sposób następujący:

„Oj wojno, oj wojno, wojno oplakana,
Ze cię wyczekują, oj zbiry Trumana,
Trumana i Franca, Adenauera,
Lecz nim przyjdzie wojna, weźmie ich cholera”.

Co najbardziej uderza w tych nie zawsze zrestytowanych udanych nowych piosenkach naszej wsi? Przede wszystkim — wyczuwanie na najistotniejsze sprawy własnej okolicy i jednocześnie poczucie łączności z całym postępowym światem; klasowe spojrzenie na rzeczywistość; bojowa postawa patrioty — obywatela Polski Ludowej; głęboki humanizm i szlachetna nienawiść do spekulacyjno-kulackich wyzyskiwaczy i „macherów”, do imperialistycznych zbrodniarzy. Oto nowe dowody szerokości politycznych horyzontów naszej wsi współczesnej, która oczywiście w ten sposób poważnie zobowiązuje naszych pracowników kultury do dalszych wysiłków, często samodzielnie usiłujących zapętlone luki, widoczne w „zaopatrzeniu” kraju w dobrą artystycznie i klasowo wyustrzoną pieśń masową. Tej politycznej czujności i naturalnej prostoty powinni się uczyć od samorodnych twórców socjalistycznego folkloru nasi zawodowi pieśniarze, ograniczający często swoje zainteresowania i obserwacje do życia nocnych lokali, przemycający w rekłame nowej pieśni stare szmirwane treści przedwojennych szlagierów.

Józef Pogan

JAN BOLESŁAW OZÓG

HEJ, TY BACA, BACA NIE NASZI!..

UCIERA wróg tezę, że na podgórskich terenach spółdzielczość produkcyjna z góry skazana jest na niepowodzenie. Płytkim sądom przeczą fakty. Okazuje się, że nie tylko na równinnych terenach, ale i w górach, spółdzielnie produkcyjne mogą się rozwijać, należy tylko umieć przyspieszyć tu powstanie myślnych warunków dla przemiany struktury gospodarstwa wsi.

Jakie stają trudności do pokonania na drodze ku nowemu?

Do przeszkód wynikających z przyczyn naturalnych należy zły, niedostępny teren górski z lichą glebą. Pod płytką warstwą ziemi — żwir i skała. Na takiej ziemi na wzniesieniach nie łatwo uda się żyć czy to kartofle, a co dopiero młóć o pszenicy. Górski lubi przypominąć że indywidualny gospodarz zna takie sposoby dogodzenia glebie, jakich nie potrafi użyć kolektyw. To prawda. Traktor nie zdola wspiąć się w górę tak wysoko jak chłop, który nawet nosi w płachcie, a orze krową.

Rozdrobienie gospodarstw na terenach górskich w stopniu równie silnym utrudnia powstawanie spółdzielni uprawowych.

Ludwik Maj w „Liście otwartym do posłów J. Chudoby i J. Wiktorę”, umieszczonym we „Wsi” (Nr 48, 1952 r.) wskazuje na przeszkodę, wynikłą z tzw. „ról”. Wsie podkarpaccie (jest to i w powiecie nowotarskim) podzielone są na role (kiedyś według rodów). Na tych rolach rozbitych na setki skrawków mieszcza się rozrzucone na kilkunastu i kilkudziesięciu kawałkach pola gospodarskie. Niejednemu gospodarz ma posiadłość na 5 rolnach — w odległości do 12 km. W terenie górskim taki rozrzut to nieprawdopodobny wzrost kosztów obróbki pól i strata czasu, to wreszcie pajęczna marnujących się miedzi i bruzd.

Naturalnie, jedynie spółdzielczość produkcyjna może zlikwidować te szachownice. Ale szturm o jej wprowadzenie utrudniony tam, gdzie odpływy do przemysłu i na zemi zachodnie jest nikiły, jak w okolicach położonych daleko od kolei i miast przemysłowych.

Znacznie lepiej sytuacja przedstawia się w miejscowościach położonych blisko kolei i większych miast. Przykładem takiej wsi w powiecie limanowskim jest Piszarzowa, lub Mordarka. Jedna i druga położona w odległości kilku zaledwie kilometrów od Limanowej, korzystają ze stacji kolejowej. Choć z Piszarzowej wyjechało na Zachód zaledwie 6 rodzin, to jednak wielu mieszkańców pracuje w Nowej Hucie, a jeszcze więcej „na miejscu”. Z każdego domu po 2—3 osoby dojeżdża codziennie do warsztatów kolejowych w Nowym Sączu, do kamieniołomów w Kleczanach, do rozszarni i bednarni w Łososinie, do owocarni w Tymbaraku, wreszcie do biur w Limanowej. Tak samo z Mordarki. Tu problem przeludnienia właściwie nie istnieje. Ten procent ludzi, który zostaje w domu, z trudem potrafi obrócić grunt. Tu cała wieś z łatwością może się wciągnąć do spółdzielni produkcyjnej. Ludzi bez pracy na roli zostanie niewiele.

Inne trudności są wynikiem złożonej psychiki ludzkiej i złożonych stosunków międzyludzkich, głównie walki klasowej. Wstręt do nowych form życia silnie akcentuje się u baców i pracowników harnasi. Pielegnujących nieraz opacznie tradycje górskich swobód za dawnych odległych wieków. Bogacz wiejski na tych terenach, zagrożony ze strony biedniaka, którego dotychczas wyzyskiwał bez miłosierdzia, niepewny o jutro, usiłujący ocalić swoje kapitały przed oddaniem w ręce społeczności, nie zbiera w środkach, gdy rusza przeciw budowniczemu socjalizmowi.

W walce tej błogosławi kulakom kler, a w Limanowskim nie tylko błogosławi. O ruchliwości i destrukcyjnej działalności w tych okolicach dużo mi opowiadał latem ub. r. sekretarz Komitetu Powiatowego PZPR w Limanowej tud. Osetek. W Limanowej wykryto w okresie zniw w kościele parafialnym za ołtarzem skład chleba. Speculanci wykupywali masowo pieczywo w piekarniach celem szerzenia paniki i przutulisko znaleźli... w kościele. Do Limanowej pojechałem jeszcze raz pod koniec grudnia (27. XII.). Przybyłem wieczorem, gdy biura były już zamknięte. Jakież było moje zdziwienie, kiedy, mijając na rynku kościół, posłyszałem, jak ksiądz zamiast koledy zaintonował

„pokropienie” pieśń pasyjną do Matki Boskiej Bolesnej! (?) Właścicielka domu noclegowego (Limanowa nie posiada hotelu), starsza pani, emerytowana nauczycielka nie mogła się nachwalić księdza wikarego. „Ufundował raz — powiada — wycieczkę szkolną do Krakowa i własnymi pieniędzmi pomaga w studiach pewnemu studentowi politechniki”. Acha... W Komitecie Powiatowym PZPR mają pełny obraz filantropii księży. I ten sklep z chlebem za ołtarzem, i tę wycieczkę i to, że na plebanii w Limanowej próbowano zbierać od wiernych składki na trzech księżych, skazanych przed miesiącem na długoletnie więzienie za czynny udział w organizacji terrorystycznej.

Organizacja, mówił tow. Buchta pierwszy sekretarz KP, nazywała się „Odwet Górski”, była powiązana z ambasadą amerykańską i siedzibę miała w południowych kresach powiatu w Kamienicy. Acha... emerytowana naiwność. Dopiero po zlikwidowaniu bandy reakcja usiadła i gmina się uaktywniła. W ostatnim czasie (3.XII.) powstała tam spół-



Mal. Edward Wiczeorek

dzielnia produkcyjna („Podhalanka”), od której spodziewać się należy pomyślnego rozwoju.

Bardzo mocno związał się kler walką z postępem jeszcze wcześniej w gminie Ujanowice.

Po wojnie zorganizowano tu liceum ogólnokształcące. Znaczne odalenie od kolei (22 km), w miejscowości zabitej deskami od świata, sprzyjało opanowaniu szkoły przez reakcję. Nauczyciele, bez kwalifikacji zawodowych, albo starzy, stolarzy się na plebanii u dziewczana, który wziął szkołę pod swoją kuratelę. Liceum stało się ni mniej ni więcej tylko bazą Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Dopiero w połowie ubiegłego roku wpływ reakcji z plebanii na okolicę osłabł na tyle, że można było gminę uaktywnić, powstały tu spółdzielnie produkcyjne: w Piszarzowej (im. „Manifestu Lipcowego”) i w Laskowej („Nowe życie”).

Krok krok z klerem, przeciw nowej wsi idący bogacz, kulak i spekulant — to siła, która pokonać trzeba tu w ciężkiej walce. Toteż „sile” tej należy się przyrzec uważnie.

Typy baców z Limanowskiego — to albo bogacz z działa pradziada, osiadły najczęściej na „roli”, albo dorobkiewicz z dolarami zarobionymi kiedyś w Ameryce, pewny siebie zdobywca dobrego posagu, albo też biedoty, które łatwościerności imponuje jego „edukacja światowa”.

Kto obserwuje narodziny nowego życia, bywa tu świadkiem starca, o jakimś się nieraz nawet nie śni spokojnemu mieszkańcowi nizin.

Oto przykłady: Typowy kulak z Laskowej, bogacz Stanisław Wiśniewski, właściciel 12 ha, podczas ostatnich jesiennych dostaw przywózł na miejsce skupu zboże zawożone. Wykryto szkodnika, i sąd skazał go na 5 lat więzienia.

W Piszarzowej Józef Smoleń (15 ha) po nocach chodził do gospodarzy, buntował, siał panikę. Po dokonaniu przerzutów zaorał na gruncie spółdzielczym i zasiał stare własne grunta. Traktory to wszystkie zaoarały jeszcze raz, a on dostał półtora roku więzienia. Tak to sprawiła widoczność tego, który za sanacji przez 14 lat był wójtem, i obrósł w piórka, tucząc się na krzywdzie ludzkiej.

Inni bogacze z Piszarzowej, jak Jan Górka, pisali zażalenia do Prezydenta, chcąc rozbić spółdzielnię. Ale kruczki nie pomogły.

Nie każdy jest jednak tak odważny jak Smoleń. Na ogół bacowie

wolą już nie ryzykować, starając się oddziaływać na sąsiadów siłą „regionalnego” autorytetu.

Niekiedy w pomoc „autorytetowi” przychodzi zasług minione. Tak na przykład jest z Józefem Marcem z Laskowej (10 ha). Od wielu, wielu lat zaciekle ludowiec. Po wojnie usuwa się od życia politycznego. Brat jego, wiciarz, zginął od kul gestapo. Przed domem Marca stoi zażytkowa lipa, kolos o obwodzie 9 m, obiekt godny zobaczenia. Na liście piękna kapliczka, malowana, dzieło nielada artysty-samouka. To wszystko czyni Marca w oczach Laskowian — niemal bohaterem, a dom jego (na szczycie góry) niezwykle atrakcyjną.

Mało kto zdaje sobie sprawę, że tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec ma linę i rodowe tradycje walki o niepodległość — jak powiadają, inny, jak Zamora czy Matras z tej samej gromady — piękny dom i pasiekę, inny — bibliotekę, jeszcze inny patefon, i to czyni, że utrzy-

nie wśród tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec ma linę i rodowe tradycje walki o niepodległość — jak powiadają, inny, jak Zamora czy Matras z tej samej gromady — piękny dom i pasiekę, inny — bibliotekę, jeszcze inny patefon, i to czyni, że utrzy-

nie wśród tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec ma linę i rodowe tradycje walki o niepodległość — jak powiadają, inny, jak Zamora czy Matras z tej samej gromady — piękny dom i pasiekę, inny — bibliotekę, jeszcze inny patefon, i to czyni, że utrzy-

nie wśród tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec ma linę i rodowe tradycje walki o niepodległość — jak powiadają, inny, jak Zamora czy Matras z tej samej gromady — piękny dom i pasiekę, inny — bibliotekę, jeszcze inny patefon, i to czyni, że utrzy-

nie wśród tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec ma linę i rodowe tradycje walki o niepodległość — jak powiadają, inny, jak Zamora czy Matras z tej samej gromady — piękny dom i pasiekę, inny — bibliotekę, jeszcze inny patefon, i to czyni, że utrzy-

nie wśród tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec ma linę i rodowe tradycje walki o niepodległość — jak powiadają, inny, jak Zamora czy Matras z tej samej gromady — piękny dom i pasiekę, inny — bibliotekę, jeszcze inny patefon, i to czyni, że utrzy-

nie wśród tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec ma linę i rodowe tradycje walki o niepodległość — jak powiadają, inny, jak Zamora czy Matras z tej samej gromady — piękny dom i pasiekę, inny — bibliotekę, jeszcze inny patefon, i to czyni, że utrzy-

nie wśród tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec ma linę i rodowe tradycje walki o niepodległość — jak powiadają, inny, jak Zamora czy Matras z tej samej gromady — piękny dom i pasiekę, inny — bibliotekę, jeszcze inny patefon, i to czyni, że utrzy-

nie wśród tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec ma linę i rodowe tradycje walki o niepodległość — jak powiadają, inny, jak Zamora czy Matras z tej samej gromady — piękny dom i pasiekę, inny — bibliotekę, jeszcze inny patefon, i to czyni, że utrzy-

nie wśród tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec ma linę i rodowe tradycje walki o niepodległość — jak powiadają, inny, jak Zamora czy Matras z tej samej gromady — piękny dom i pasiekę, inny — bibliotekę, jeszcze inny patefon, i to czyni, że utrzy-

nie wśród tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec ma linę i rodowe tradycje walki o niepodległość — jak powiadają, inny, jak Zamora czy Matras z tej samej gromady — piękny dom i pasiekę, inny — bibliotekę, jeszcze inny patefon, i to czyni, że utrzy-

nie wśród tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec ma linę i rodowe tradycje walki o niepodległość — jak powiadają, inny, jak Zamora czy Matras z tej samej gromady — piękny dom i pasiekę, inny — bibliotekę, jeszcze inny patefon, i to czyni, że utrzy-

nie wśród tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec ma linę i rodowe tradycje walki o niepodległość — jak powiadają, inny, jak Zamora czy Matras z tej samej gromady — piękny dom i pasiekę, inny — bibliotekę, jeszcze inny patefon, i to czyni, że utrzy-

nie wśród tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec ma linę i rodowe tradycje walki o niepodległość — jak powiadają, inny, jak Zamora czy Matras z tej samej gromady — piękny dom i pasiekę, inny — bibliotekę, jeszcze inny patefon, i to czyni, że utrzy-

nie wśród tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec ma linę i rodowe tradycje walki o niepodległość — jak powiadają, inny, jak Zamora czy Matras z tej samej gromady — piękny dom i pasiekę, inny — bibliotekę, jeszcze inny patefon, i to czyni, że utrzy-

nie wśród tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec ma linę i rodowe tradycje walki o niepodległość — jak powiadają, inny, jak Zamora czy Matras z tej samej gromady — piękny dom i pasiekę, inny — bibliotekę, jeszcze inny patefon, i to czyni, że utrzy-

nie wśród tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec ma linę i rodowe tradycje walki o niepodległość — jak powiadają, inny, jak Zamora czy Matras z tej samej gromady — piękny dom i pasiekę, inny — bibliotekę, jeszcze inny patefon, i to czyni, że utrzy-

nie wśród tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec ma linę i rodowe tradycje walki o niepodległość — jak powiadają, inny, jak Zamora czy Matras z tej samej gromady — piękny dom i pasiekę, inny — bibliotekę, jeszcze inny patefon, i to czyni, że utrzy-

nie wśród tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec ma linę i rodowe tradycje walki o niepodległość — jak powiadają, inny, jak Zamora czy Matras z tej samej gromady — piękny dom i pasiekę, inny — bibliotekę, jeszcze inny patefon, i to czyni, że utrzy-

nie wśród tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec ma linę i rodowe tradycje walki o niepodległość — jak powiadają, inny, jak Zamora czy Matras z tej samej gromady — piękny dom i pasiekę, inny — bibliotekę, jeszcze inny patefon, i to czyni, że utrzy-

nie wśród tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec ma linę i rodowe tradycje walki o niepodległość — jak powiadają, inny, jak Zamora czy Matras z tej samej gromady — piękny dom i pasiekę, inny — bibliotekę, jeszcze inny patefon, i to czyni, że utrzy-

nie wśród tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec ma linę i rodowe tradycje walki o niepodległość — jak powiadają, inny, jak Zamora czy Matras z tej samej gromady — piękny dom i pasiekę, inny — bibliotekę, jeszcze inny patefon, i to czyni, że utrzy-

nie wśród tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec ma linę i rodowe tradycje walki o niepodległość — jak powiadają, inny, jak Zamora czy Matras z tej samej gromady — piękny dom i pasiekę, inny — bibliotekę, jeszcze inny patefon, i to czyni, że utrzy-

nie wśród tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec ma linę i rodowe tradycje walki o niepodległość — jak powiadają, inny, jak Zamora czy Matras z tej samej gromady — piękny dom i pasiekę, inny — bibliotekę, jeszcze inny patefon, i to czyni, że utrzy-

nie wśród tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec ma linę i rodowe tradycje walki o niepodległość — jak powiadają, inny, jak Zamora czy Matras z tej samej gromady — piękny dom i pasiekę, inny — bibliotekę, jeszcze inny patefon, i to czyni, że utrzy-

nie wśród tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec ma linę i rodowe tradycje walki o niepodległość — jak powiadają, inny, jak Zamora czy Matras z tej samej gromady — piękny dom i pasiekę, inny — bibliotekę, jeszcze inny patefon, i to czyni, że utrzy-

nie wśród tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec ma linę i rodowe tradycje walki o niepodległość — jak powiadają, inny, jak Zamora czy Matras z tej samej gromady — piękny dom i pasiekę, inny — bibliotekę, jeszcze inny patefon, i to czyni, że utrzy-

nie wśród tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec ma linę i rodowe tradycje walki o niepodległość — jak powiadają, inny, jak Zamora czy Matras z tej samej gromady — piękny dom i pasiekę, inny — bibliotekę, jeszcze inny patefon, i to czyni, że utrzy-

nie wśród tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec ma linę i rodowe tradycje walki o niepodległość — jak powiadają, inny, jak Zamora czy Matras z tej samej gromady — piękny dom i pasiekę, inny — bibliotekę, jeszcze inny patefon, i to czyni, że utrzy-

nie wśród tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec ma linę i rodowe tradycje walki o niepodległość — jak powiadają, inny, jak Zamora czy Matras z tej samej gromady — piękny dom i pasiekę, inny — bibliotekę, jeszcze inny patefon, i to czyni, że utrzy-

nie wśród tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec ma linę i rodowe tradycje walki o niepodległość — jak powiadają, inny, jak Zamora czy Matras z tej samej gromady — piękny dom i pasiekę, inny — bibliotekę, jeszcze inny patefon, i to czyni, że utrzy-

nie wśród tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec ma linę i rodowe tradycje walki o niepodległość — jak powiadają, inny, jak Zamora czy Matras z tej samej gromady — piękny dom i pasiekę, inny — bibliotekę, jeszcze inny patefon, i to czyni, że utrzy-

nie wśród tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec ma linę i rodowe tradycje walki o niepodległość — jak powiadają, inny, jak Zamora czy Matras z tej samej gromady — piękny dom i pasiekę, inny — bibliotekę, jeszcze inny patefon, i to czyni, że utrzy-

nie wśród tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec ma linę i rodowe tradycje walki o niepodległość — jak powiadają, inny, jak Zamora czy Matras z tej samej gromady — piękny dom i pasiekę, inny — bibliotekę, jeszcze inny patefon, i to czyni, że utrzy-

Jan Bolesław Ozóg

STANISŁAW WYGODZKI

OD PRZESZŁOŚCI DO TERAŹNIEJSZOŚCI

W bogactwach ukrytych w Ziemi Śląskiej wiedzieli już bardzo dawno. Już w roku 1136, w dokumencie potwierdzającym dochody arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, mowa jest o kopaczach wydobywających na Śląsku srebro. Potem odnaleziono węgiel, rudy, ale nie bardzo wiadano co z tym zdziałać. Tymczasem ziemia te zostały zagarnięte, pod władztwo pruskie dostały się skarby, plemiona słowiańskie, ludzie innej mowy, innej wiary, innego obyczaju.

W krainie dolin i wzgórz, wśród borów gęstych, tam gdzie w roku 1136 wydobywano srebro, odnaleziono również węgiel i rudę. Ci, którzy się wdzierali w głąb ziemi nie widzieli jeszcze związku między rudą a węglem. Nawet wówczas gdy potrafili już przetapiać rudę, czynili to przy użyciu drzewa.

Połączenie węgla z rudą, a ściślej mówiąc koks z rudą nastąpiło później, znacznie później. Ale już pod koniec 18 wieku wydobywano na Śląsku zarówno węgiel jak i rudę, przeznaczając jeden i drugi produkt do wspólnego działania. Do połączenia się w wielkich piecach w których przetapiano rudę na żelazo. Reden, ów minister pruski czworga imion Friedrich Wilhelm Otto Ludwig von Reden namówił cesarza pruskiego, by zaczął inwestować, budować, rozwijać przemysł. Reden był właśnie wrócił z Anglii, z owego kraju klasycznego kapitalizmu, tam poznał niezwykłą wartość przemysłu dla rozwoju kraju, tam widział nowe maszyny, nowe zakłady, fabryki zatrudniające tysiące ludzi opłacanych tanio, tam ujrzał także bogactwo tworzone rękami tych ludzi, dalecegożby nie postąpił podobnie w Rzeczy? Rząd pruski zakładał hutę i jaką jej nazwę daje? Oczywiście mianuje ją Królewska, bo do króla należała i jego imię miała utrwalic ku chwale wiecznej, po wsze czasy, dla potomności. Atoli, jakby powiedział dziejopis, obok króla istnieje druga władza, władza posiadaczy gruntów i majątków ziemskich, władza panów feudalnych, którzy wprawdzie przestają być feodalnymi panami, ale nie przestali być potęgą!

A król i cesarz? Jest już wprawdzie władza, ale jeszcze nie jest potęgą, stanie się nią dopiero kilkadziesiąt lat później, ale wtedy ktoś inny już będzie nim rządził, zjawi się potęga nowa nazywana po krótko — koncernem. A król i cesarz? Jest już wprawdzie władza, ale jeszcze nie jest potęgą, stanie się nią dopiero kilkadziesiąt lat później, ale wtedy ktoś inny już będzie nim rządził, zjawi się potęga nowa nazywana po krótko — koncernem.

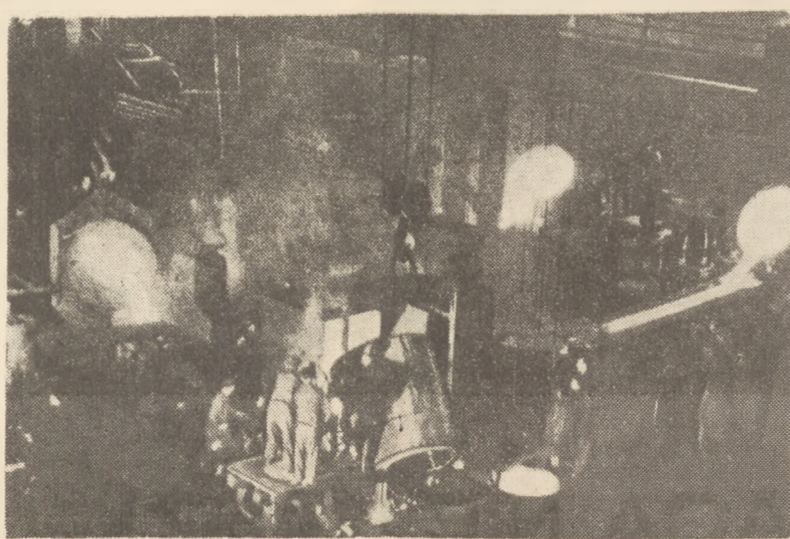
Teraz więc jesteśmy na początku 19-go stulecia na Śląsku, w mieście nazywanym obecnie Chorzowem i wraz z ministrem pruskim Redenem, człowiekiem bywa-

łym i bardzo uczonym, który został no sobie wiele dzieł naukowych i wielkie zasługi dla rozwoju kapitalizmu w Niemczech, wchodzimy w ciemny bor. Jest rok 1801 i w otoczeniu lasów wznosi się budowla wielce dziwna. W otoczeniu budowli przypominających dwór szlachecki wznoszą się niebo dwie obryzmy, ale przysadziste kadzie, zwężające się ku górze i z wylotów tych kadzi wkrótce wzniesie się obłok czarnego dymu, wijący się odłąd nieprzerwanie pomiędzy drzewami i ku niebu. Będzie to huta, jak się rzekło, zwana Królewska. Jednakowoż tu obok, zupełnie blisko, na swoim gruncie ksiądz Henckel von Donnersmarck, ten z Nakła a nie ze Świerklańca, bo wzmianka o nim była na Śląsku, również coś buduje wśród borów. Nie hutę, a kopalnię. Z tej własnej kopalni hrabia Reden pragnąłby mieć węgiel dla nowej huty, dla tej Królewskiej. Węgiel dla huty? — zapytuje graf, a właściciel kopalni odpowiada: „Czy nie stać mnie na to, abym sam sobie wybudował hutę, dla której przeznaczę własny węgiel? Henkla oczywiście stać na wybudowanie własnej huty, zwłaszcza. Otóż o to zwłaszcza chodzi. Jesteśmy w okresie rozwoju przemysłu i handlu, początek 19-go stulecia na kontynencie już wie co to jest kryzys, lecz po okresach kryzysu następuje jeszcze wówczas okres rozkwitu i żelazo jest bardzo potrzebne, bardzo poszukiwane, bez niego nie ma maszyn, kotłów parowych, szyn kolejowych! Na Górny Śląsk obok istniejących kopalni i hut przybywają nowe, ich budowa nie ma kosztów, wszyskto jest na miejscu! Budulec w postaci drzewa, dolomity, rudy, węgla, a ludzi? Ile tylko dusza zapagnie. Kończy się feudalizm, zjawia się proletariatus, wolny ajmita, który nie posiadając ziemi, posiada za to skarb większy — mocne ręce, które można kupić, ale i przegnać można precz wraz z człowiekiem, do którego należą.

Dlatego właśnie proletariatus nazywa się wówczas wolnym najmitem. Jest rzekomo wolnym, bo nie stanowi już własności pana, ale wolnym jest również ów, który kupuje siłę roboczą, najmity, wolny wolnością zupełnie odrębną, inną, jemu tylko właściwą.

Ci więc, którzy budują na Śląsku kopalnie i huty, czy to będzie król, czy magnat, mają wszystko, nie wyłączając ludzi i ci pracują. Ci drążą ziemię, ci stoją przy piecach, ci giną w czeluściach ziemi i ci mru w męczarniach od oparzeń i wypadków. Ale są wolni!

Czas szybko miją i rząd pruski, właściciel huty „Królewskiej” nie może po prostu podobać możliwościom hrabiego Henkla von Donnersmarck. Hrabowie stają się silniejsi, pewniejsi, zasobniejsi, w Niemczech zaczynają się po prostu rządy kapitału i władza kró-



lewska, aczkolwiek wychodzi z waik i rewolucji wzmocniona, ale nie w stosunku do nowej klasy, jaką jest burżuazja. Ta stanie obok króla, broniąc go gdy się poczucie zagrożony, ale będzie go ograniczać, gdy spróbuje stanąć przeciwko burżuazji, czego zresztą nigdy nie uczyni, bo po co? Czyż to źle władzy u boku tej klasy, która z nim się jednoczy przeciwko nowej sile, rodzącej się niestannie — przeciwko proletariatusowi?

Po co więc królowi zabawiać się w prowadzenie jakiejś tam huty? Po co rządowi tego rodzaju kłopoty? Czy nie lepiej oddać ją jak kłemu kapitalistom, którzy się będą sam o nią troszczyć, a państwo odda co się państwu należy, a więc podatki, opłaty, cła i myta. Tak więc rząd sprzedaje hutę zwaną Królewską, sprzedaje ją, ale komu? Henklowi właśnie, temu to Henklowi, który nie chciał dać królowi swego węgla i teraz staje się właścicielem huty i to jakiej! To przecież nikt inny tylko rząd inwestował, rząd budował, budował więc solidnie, mocno, dobrze, wprowadził najnowsze wynalazki i maszyny, bo czy to królowi szkoda było pieniędzy skarbowych na budowę najprędzej, największej huty na kontynencie, pędzonej maszyną parową, ogrzewanej koksem zamiast węglem drzewnym? Ciekawo za ile Henkel zapłacił rządowi za tę hutę? Proszę bardzo. Znamy dokładną sumę. Henkel zapłacił rządowi pruskiemu 1.003.000 talarów, a więc sumę pokaźną, olbrzymią i po roku bilans wykazuje... No, co bilans wykazuje? Oczywiście zysk, zysk, a jakże, ale jaki? Przypomnijmy, Henkel zapłacił milion trzy tysiące talarów, a po roku miał zysku 400.000 talarów! To się nazywa mieć głowę na karku! W ciągu roku uzyskał o powrotem 40 proc. wyłożonych na kupno pieniędzy! Ale to nie bynajmniej ta głowa hrabiowska to sprawiła! Henkel zakupił od rządu hutę w roku 1871 i to wyjaśnia wszystko. Przez Europę przechodzą

wrzenia rewolucyjne, pierwsza w dziejach próba stworzenia rządu robotniczego i to jroge rewolucji, przez kilka miesięcy w Paryżu istnieć będzie władza Komuny, a przeciwko Komunie, przeciwko proletariatusowi huty mogą wiele zdziałać, o bardzo wiele. Huty dają stal, stal to bagnet, stal to armaty, żelazo to kule, wyroby hutnicze potrzebne są do budowy kolei, statków, maszyn, fabryk! I wtedy nadchodzi rok 1871, znamienny nie tylko w dziejach Europy, lecz również w dziejach huty, zwanej dziś Kościuszką. W roku bowiem 1871 Henkel sprzedaje hutę! Ni stąd ni zowad sprzedaje hutę, ów obiekt, który po roku dał mu 40 proc. zysku, zakład, który po 3 latach miał mu zwrócić z nawiązką zapłaconą cenę, a w dalszych latach miał sprawić, że się stanie milionerem, potęgą! A mimo to Henkel sprzedaje hutę i trzeba przyznać, sprzedaje ją dobrze. Zapłacił za nią milion i trzy tysiące talarów, a dostał za nią 6 milionów talarów, nie licząc zysków, ale... Ale sprzedał ją sobie. Tak jest. Dostał 6 milionów talarów za hutę, której właścicielem nie przekał być ani na chwilę. W jaki sposób? W bardzo prosty sposób. Europa rządzi wówczas kapitał anonimowy, bezimienny, bankowy, powstają spółki akcyjne, koncerny, kapitał się jednoczy, gromi słabszych od siebie konkurentów, ci więc, którzy przystąpili do spółki Henkla wkułpiłi się w jego hutę, dali mu 6 milionów talarów i zyskali prawo do części dochodu, jaką huta miała przynieść w toku swojej pracy. Ale Henkel sam nie wycofał się ze spółki, pozostał w niej i bogacił się dalej. Huta Królewska była już wówczas zjednoczona z hutą Laura, którą Henkel swego czasu wybudował jako konkurencję huty Królewskiej — wchodząc w okres tzw. towarzyszywa akcyjnego, okres bardzo ciekawy. W 10 lat później na przykład w roku 1881 przeciętny zarobek hutnika wynosił rocznie 575 marek, a koszty utrzymania wyno-

sity zaledwie od 921 do 1935 marek, ile więc brakło hutnikowi, aby się utrzymać przy życiu? No, zaledwie jakieś od 346 do 460 marek Bagatela! Jak więc żył? Żył źle, żył krótko, ale prawo kapitalizmu nie takie, że na miejsce zmarłego, o ile jest robota, stanie stu innych. Taki to jest porządek. Do śmierci w koleje.

Od tej chwili, od 1871 roku datuje się burzliwy rozwój i rozkwit przedsiębiorstwa. Posiada ono własne kopalnie, własne koksownie, własne elektrownie, własne gazownie, własne fabryki wagonów, produkcję szyn, stalownie, ale odłąd też zakłady będą miały własne strajki robotników: w latach 1870, 1899, 1901 i dalej i dalej nie inaczej niż we wszystkich innych zakładach należących do innych koncernów. Strajki te będą łamane i tłumione krwawo, a często bezkrawo, ale przy użyciu zdrady socjaldemokratów.

W tych latach przez Chorzów przejdą Róża Luksemburg, Julian Marchlewski działacze KPD, tu Hitlerowie nim doszli do władzy rozprawiali się z ludnością polską i opozycją robotników niemieckich, by potem, po objęciu rządów, urządzić pogromy, tu w okresach kryzysów wzrastać będzie bezrobocie, nędza, głód. Widziałem broszurę wydaną w 50-lecie istnienia tej spółki. O ile w roku 1902, w stulecie istnienia huty jakiś tam dyrektor Junghann głosił się nad tym, kogo zaprosić na uroczystość, a kogo można pominąć, to w roku 1921, po przegranej wojnie, w 50-lecie istnienia Spółki akcyjnej, wydano jedynie skromną broszurę, zawierającą sprawozdanie z działalności zarządu spółki, rozliczenie akcji itp. historie, ale najciekawiejsze widnieją na pierwszej stronie, gdzie wymieniona została rada nadzorcza spółki. A więc dr. Paul von Schwabach, bankier, z firmy bankowej Bleichroder w Berlinie, Henry Nathan, dyrektor Dresdner Bank, Georg Behrens, bankier z firmy bankowej L. Behrens i synowie, Hamburg Gutman, dyrektor Dresdner Bank, dr. Georg Heilmann, bankier z firmy bankowej E. Heilmann, Wrocław, Graf Guindotto Henkel von Donnersmarck, Neudeck, Ernst Kritzer, bankier z firmy bankowej Bleichroder, Berlin, Ludwig von Neurath, dyrektor Oesterreichische Credit Anstalt für Handel und Gewerbe, Wiedeń! Bankierzy, bankierzy, bankierzy! Ale za tymi bankami stał jeszcze ktoś mocniejszy: Flick, Krupp i Amerykanin Harriman! Wszystkie nici, cdy kapitał już wówczas zbiegał się na Wall-Street. Pieniądz dawał Hitlerowie bank Bleichrodera i Dresdner Bank, Ameryka uprawiała wobec Hitlera tek zwaną opozycją, lecz po cichu popierała i umacniała bandytów dla wiadomych celów: do walki przeciwko Związkowi Radzieckiemu. W roku 1921, gdy się

odbywało owo sławne zebranie akcjonariuszy ku czci 50-lecia istnienia obecnej huty Kościuszką, najmniejsza akcja kosztowała 100 marek, ale 1 głos liczył się dopiero od jedn! akcji wartości ponad 600 marek! Nie było kto mógł więc nabywać akcje tego towarzystwa!

W tym stanie rzeczy, w roku 1921, na mocy konwencji zawartej w Genewie Polska obejmuje tę część Śląska, która była przez wieki okupowana przez prusactwo. Przez cele 17 lat władzy Polski burżuazji, wybudowano w hucie Kościuszką jeden jedyny piec! Najmniejszy z istniejących obecnie, bo nasza władza w ciągu 7 lat wybudowała już jeden, zwany powszechnie B, znacznie większy od pieca A, a na ukończeniu jest drugi, zwany C, równy co do wielkości i mocy piecowi B.

Myślę, że w tym skróconym zestawieniu naszych osiągnięć i tego co zrobili kapitaliści polscy, gdy mieli władzę, mieli się wszystko: i prężność naszego ludu pracującego, i energia władzy ludowej, i potęga naszego ustroju i wielkość naszych czasów i perspektywa naszej przyszłości.

Mówiliśmy często ostatnio i przypominaliśmy, żeśmy zlikwidowali bezrobocie, że są to czasy bezpowrotne i nieodwracalne, mówiliśmy często ostatnio i cytowali słowa poety o tym, że lud wszedł do śródmieścia i zamieszkał nowe dzielnice mieszkaniowe, ale na przykładzie huty Kościuszką słowo potę nabrano jeszcze innego znaczenia. Lud wszedł nie tylko do śródmieścia, nie tylko do przemysłu, by pracować, ale wszedł również do biur konstrukcyjnych, do gabinetów i dyrekcji, do sal konferencyjnych i komórek kierowniczych, gdzie zarządza hutami i kopalniami, gdzie się uczy, skąd spojuje energię, rozbudowa, wyrostem. Dzieci robotnicze weszły do pałaców byłych dyrektorów huty, willa dyrektora Bernharda została oddana dzieciom hutników na żłobek, inne wille oddano instytucjom robotniczym, w willi mieszczącej się w parku hutniczym mieści się świetlica dziecięca, hutnik i wytańczył z huty Kościuszką Henryk Kowol zasiada w sejmie Rzeczypospolitej jako poseł ludowy, jako reprezentant górniczego i hutniczego Śląska i gdy dziś ołwieramy pamiętkowe broszury i księgi to obok nazwisk ludzi kierujących przemysłem i rządzących krajem, czytamy: górnik, hutnik, członek spółdzielni produkcyjnej i dopiero przez zestawienie, przez porównanie pojmujemy, jakich wydarzeń stałymi się świadkami, my, którzy wczoraj jeszcze widzieli nieważną, wrogą twarz obcego i swojego kapitalisty, a dziś widzimy swoją, jakże surową często, ale umiłowaną twarz wyzwolonego ludu.

Stanisław Wygodzki

EUGENIUSZ MORSKI

CHMIEL

Chmiel dziki piął się na sztachety posłuszny woli twoich rąk, szliśmy ścieżkami w głąb poletek pieściłaś czule każdy strąk.

A w nocy śniłem na kwaterze: szłaś rozuwając spłoty zielsk chwytały cię galezie jerrzyn, a ja opłotłem cię jak chmiel.

Powoli wstawał świt zamglony, w akcjach białych śpiewał kos, a w czarnej tubie telefonu zniennała twój się znalazł głos.

Plan dnia kreśliłaś roześmiana, tak dziwnie rwał się tok twych słów, jakbym na jawie znalazł z rana cząsteczkę minionego snu.



WAĆLAW PALIK

O AUTORYTECIE SPÓLDZIELNI

C O nowego w Bielicach? W tamtejszej spółdzielni produkcyjnej „Przyszłości”? Przyszło niedawno do zarządu dwóch nowych, aby się zapisać. Pilarski i Dobek, obaj średniaki. Ale narobili oni lekkomyślnie długów i z takim dopiero obciążeniem do... „Przyszłości”. Zebranie ogólne odmówiło przyjęcia...

Matusik rzekł im: — „Co wyta-piduchy, piliście i jedliście a teraz chceta, aby spółdzielnia przyjęła odpowiedzialność za wasze dług? Na spółdzielnię musita zasłużyć uczciwą pracą... na razie się nie nadajeta... poprawta się...”

Opcwidam o tym z pozoru białym a wesolym wydarzeniu, gdyż widzę w nim znamienny i wcale poważny objaw.

Bo czy nieprzyjęcie Pilarskiego i Dobka oznacza zamykanie się zespołu? Nie! Spółdzielnia obejmuje już ponad 90 proc. mieszkańców Bielice. W ciągu trzech lat swego istnienia dowioda, jak mocno prowadzi politykę otwierania drzwi i pozyskiwania indywidualnych. Czyż zatem, za odmową kryje się tu interes gospodarczy zespołu, aby nie obciążać spółdzielni kosztami długów Dobka i Pilarskiego? I to nie, choć za motywem takim przemawiałaby ekonomiczna racja. Trzeba wyciągać właśnie wnioski z faktu, że bielicka spółdzielnia, to dziś 9/10 gromady. Cóż on bowiem oznacza? Dobrą, gospodarkę wielkiego stosunkowo kolektywno i rozwinięte społeczeństwo wśród tak dużego zespołu członków. Wielki zespół ani nie powstanie dla „zobowienia” spółdzielni, ani nie może egzystować, zdobyć tylko pracujący trzon. Tam, gdzie prawie cała gromada w spółdzielni, mamy obraz sity gospodarczej i moralnej nowej wsi. A to wytwarza znów coś nowego: autorytet, jakiego dotąd chłop nie znał i nie doświadczał.

Na starej wsi kulał i obszarnek imponowali chłopom nie tylko dlatego, że byli potęgą gospodarczą, ale również dlatego, że każda z tych potęg zagrażała chłopu. „Autorytet”, jaki zdobywali, tylko w części pobudzał chłopów do naśladowania, w przeważającej mierze zmuszał go do postępowania

przeciwstawnego do górujących wzorów. Do pokory, uległości, próśb, ulegania wyższości itd. Ten autorytet wyrastał na gruncie sprzecznosci i nienawiści klasowych.

Spółdzielnia produkcyjna i taka jak Bielice, to też potęga gospodarcza.

Ale — po pierwsze — nie jednostkowa a zbiorowa. Z czym chłop dotąd nie miał do czynienia na wsi. Bo kulał czy dziedzie to „autorytet”, że tak powiem personalny, gdy spółdzielnia — społeczny. I nie dający się porównać z dawną gromadą, bo ta, jak ją nazywał Marks, stanowi „worek kartofli”, a kartofle choćby w kupie, nie przestają być pojedynczymi kartoflami.

Po drugie — spółdzielnia produkcyjna nie zagraża chłopu indywidualnemu, nie konkuruje z nim w sensie kapitalistycznym. Nie walczy, nie wyżyskuje i nie niweczy go. Przeciwnie, służy mu doświadczeniem i pomocą.

Po trzecie — spółdzielnia tworzy zespół ludzi klasowo jednorodnych z pracującym chłopstwem, ten sam to pień. Osiągnięta zatem gospodarce spółdzielni mówią o nowych możliwościach właśnie dla małego i średniorolnych. Wzór tutaj powstaje zatem prosty, nie na wskazy.

I jeśli spółdzielnia staje się potęgą gospodarczą, wówczas w okolicy rośnie jej autorytet niweczający przeciwieństwa i przyciągający indywidualnych do nowego wzoru. Za tym zaś nowym wzorem stoi sugestia zbiorowej, jakiej dotąd chłop nie podlegał.

Bielice w trzecim roku gospodarki zespołowej prawie całe u spółdzielczone. To znaczy Bielice bez utracjuszków, nierobów i symulantów. To jest ten nowy, narodził w krótkich kilku latach kapital moralny nowej wsi. I z mandatu tej siły moralnej przemawia Matusiak do Pilarskiego i Dobka.

Na spółdzielnię musita zasłużyć uczciwą pracą. Na razie się nie nadajeta... poprawta się...

Oto etap, na którym spółdzielnia, jak w Bielicach, może już moralizować chłopów indywidualnych

(nawet czeligidnych średniaków). To znaczy, że odwrócił się już tutaj dawny porządek rzeczy. Pierwsze bowiem, jak wiadomo, strzały ze wsi puszczane w nowopowstałe spółdzielnie kłuty moralnie: że ten, ten i ów źle pracują, kłocą się, kradną, jakże więc może powstać nowe życie kolektywne...

Teraz spółdzielnia wydaje oceny o morale średniaka... poprawta się, poprawta... Jakże zatem, widząc, że to spółdzielnia ukazuje mu lepszy wzór życia w jego własnym indywidualnym porządku, ma chłop nie widzieć w spółdzielni jeszcze wyższego życia nad jego najlepsze, kiedy Matusiak z kolei powiada: „na spółdzielnię musita zasłużyć...”

*

Nowy autorytet nie powstaje łatwo. Trzy lata temu sześciu zapaleńców — małorolnych pośród wścieklej ganonki i drwin kulaćkich (w okolicy nie było jeszcze ani jednej spółdzielni) przystąpili do zespołowej uprawy. Byli formalnie dopiero Komitetem Założycielskim, praktycznie — spółdzielnią. Nikt we wsi nie zważał na czerwiele statutowe, jest czy nie ma 12 tu. Była akurat połowa tego co dopiero prawomocne. Ale ta połowa działała jak zespół Patrzanow, co z tego wyniknę w warunkach niezwykle ciężkich. Wkład bowiem inwentarza mógł dać minimalny, brak było sprzętu rolniczego i maszyn. Sam remont budynków pochłonął 1/4 calorocznego dochodu. A jednak wytrwali i uzyskali dobry zbiór zboża i oko powych, siewy jesienne przeprowadzili sprawnie i w terminie, o bora zaczęła zapelnić się bydlętem. Zdobyli już wówczas pewien autorytet. Wiosną przystąpiło 10 średniaków i 5 biedniaków. Średniacy to był sukces! Przybyli „ekonomiści”, głowy kalkulatorskie, a z łobrze w rolnictwie kute dlategajpierwsze dały się przekonac.

Z ostrą świadomością klasową biedniaków i ich szturmowym zaścianem spłotła się teraz średniacka umiejętność gospodarowania.

Dwa następne lata dają taki bilans:

W inwestycjach — dobrze zaopatrzone park maszynowy, własny traktor i smochód ciężarowy, rozbudowane magazyny stodoły chlewy i obory, pełne zelektryfikowane i radiofonizowane, świetlica, biblioteka.

W produkcji: oto tabelka, ile zbierali chłopci w Bielicach w r. 1950 z ha a ile zbierają teraz jako spółdzielcy.

żyto	14—15 q	25 q
pszenica	16 q	23 q
jęczmień	13 q	22 q
buraka cuk.	150—170 q	275 q

Gleby bielickie należą do słabych. Osiągnięcia w buraku rozstrzygnęły spółdzielnie w okolicy.

W r. 1950 pierwsi spółdzielcy wprowadzili 7 krow. Dziś jest w wysokiej oboze 45 wysokomlecznych rasowych krow, 20 cieląt, 90 świń, 24 koni.

Jak się mają sprawy z autorytetem spółdzielni w Bielicach niech świadczy jeszcze jeden przykład z ostatnich dni. Odhły się zebranie rozliczeniowe, na które jak zwykle zaproszono chłopów z sąsiednich wsi. Z tego zebrania nikty nie zapomniał wystąpienia Kubiakowej, gdyby nie replika Kownackiego, chłopca indywidualnego, jednego z ostatnich Mohikanów bielickich.

Kubiakowa jak to się mówi — natracila, że coś jej się mały widzi obrachunek za 110 przerobionych dniówek. Przewodniczący raz jeszcze wyczytał jej należność.

— 10 q pszenicy, 15 q żyta, 60 kg cukru, 5 ton kartofli, pasza dla krowy i 1300 zł gotówką.

Wtedy to właśnie wystąpił Kownacki.

— Mało wam tego? Toć to za dniówek a ja za cały rok ha łowki na 4 ha nawet w zbożu tyle nie wyciągne. Liczcie 2 ha mar pod siew to 48 q. Na skup 5 q. na zasiew 4 na obrzędek choćby tyłko 3 — zostaje 16q... w teori... A wy czyste dochołu weźmiecie 25 q pszenki, ki i żyta.

Siadł i jakby sprężyną podrzucony, znów wstał. — To ja proszę zapisać Kownackiego do spółdzielni.

Wacław Palik

Laureaci Nagród Stalinowskich Książki polskie o współczesnej Francji



MIECZYSLAW INGLOT

ERENBURG — PISARZ POKOJU

Jerzy Broszkiewicz otrzymał najbardziej zaszczytną nagrodę, jaką może otrzymać człowiek i pisarz: Stalinowską Nagrodę Pokoju.

Jest ona — jak to podkreślił sam Erenburg, „wyrazem uznania dla wszystkich ludzi radzieckich, którzy bronią pokoju”. Jest jejawo cześnie dowodem poszanowania dla wielkiej misji pisarza — obrońcy pokoju, prowadzącego za sobą tysiące i setki tysięcy swych czytelników. Jest także wyrazem poparcia całej światowej literatury postępu i pokoju. Literatura ta nie opuszcza ludzkości w jej ciężkich zmaganiach o przyszłość świata.

„Pozegacie” i „Spyszkowcy” Szpanowa, „Komuniści” Aragony, „Pierwszy cios” i „Strzał armatni” André Stila, „Jimy” Pierre Courtade’a, „Dyplomata” Aldridge’a, „Niemy” Kruczkowski — wszystkie to wystąpienia jednolitego potężnego frontu postępowej literatury, oskarżającej zbrodnie imperializmu, ukazującej pokojowe dążenie prostych ludzi. Przyczynia się ona do mobilizacji i zjednoczenia narodów — staje się wielką siłą w walce o pokój. W szeregu jej twórców zaszczytnie miejsce zajmuje Erenburg, jako publicysta i powieściopisarz, twórca „nowej prozy, prozy oburzenia i operatywnej bezużyteczności w stosunku do obudny i jalszu” (Fiedin).

Mimo zomykania granic i zarzucaenia kurtyn, świat współczesny wyjada się sobie bliski. Między Warszawą, a Pekinem rozciągają się tysiące kilometrów; między Tyrana a Leningradem, Moskwą a Paryżem, Berlinem a Now Yorkiem widnieją stopy graniczne, migają godzinie, dni i tygodnie. A mimo to, przy lekturze utworów Erenburga znikają tysiąckilometrowe przestrzenie. Myśli amerykańskiej murzynki Jenny, rosyjskiego doktora Kryłowa, francuskiej działaczki Mado są jednako- we. A granice przebiegają i nucej. „Autor przedstawia rzeczywistość w ostrych, pełnych napięcia konfliktach; w dramatycznej walce dwóch zasadniczych sił, pokoju i wojny”. Sąd radzieckiego krytyka Nikolajewa w recenzji z „Dziwiętej jali”, można zastosować do większości utworów Erenburga.

Erenburg kontynuuje wielkie tradycje realizmu socjalistycznego w demaskowaniu światowej burżuazji, tradycje Gorkiego i Majakowskiego. Tu tkwi bezpośredni rodowód wielkiej sztuki Erenburga, przepojonej chłopcą ironią dla imperialistycznych zbrodniarzy i oszustów. Prześledźmy jeden przykład — trudną jaskarską przepłata się tu z nowymi faktami życia. „Miasto Zółtego Diabła” zawiera szkic pt. „Kapitan moralności”, w którym Gorki opisuje spotkanie swoje z przedstawicielem amerykańskiego biura obyczajów. Celem tej insyngacji jest ostona afer klas posiadających przez niejawne drobnych ciekawych skandali. „Na przykład zaczynają mówić o przepustwie senatorów. Biuro natychmiast organizuje szereg pre- kuptw organów policyjnych i ogła- sza ich sprzedażność przed publicz- nością. Pogłoski kapitulują przed faktami”. Takim międzynarodowym juki biurem jest u Erenburga „Tran- soc” z „Dziwiętej jali”. Tu chodzi o rozpiętywanie historii wojennej przez organizację prowokacji, mającej na celu udowodnienie rzekomej agresywności ZSRR. Pisarz przepro- wadza niemięty ostry atak, równie bezużyteczna jest jego pogarda, rów- nie chłopcą ironia, podobne me- tody demaskacji.

Może się komuś wydawać parado- ksem twierdzenie, że Erenburg jest obrońcą zachodniej kultury. A prze- cież spełnia on tę rolę we wszystkich prawie swych utworach. Kreśląc sylwetkę Amerykanina, inspiratora atomowej historii we Francji, ukazuje jego niszczycielski stosunek do kultury. Przepaść między ludzką dążnością do piękna, a działalnością amerykańskiego inspiratora zagłady uderza i w rozmyślności Lonciera z „Burzy” i amerykańskiego malarza z „Dziwiętej jali”. Notre Dame, Michał Anioł, Rafael... Tego broni Erenburg; nie tylko przed wojną i zagładą, ale również i przed „szuk- ką”, która ogtupa i przeraża, która wychowuje morderców i rozpętuje historię, przed sztuką sprzedawaną i kupowaną, tak jak kupowani są jej twórcy, pasyzytujący na łatwiznie propagandy wojennej.

Obrońca kultury wiąże się u Erenburga z obrońcą jej narowowego cha- rakteru wobec kosmopolitycznych zabiegów ideologów „ery atomowej”. To jeden z głównych problemów je- go plomiennej publicystyki i bojo- wej prozy Podczas Wielkiej Wojny Ojczyźnianej — radziecka chłotka z książki Lwa Tołstoj na poce skromnej chaty, przetranszawiona „cywilizowanym chamom”, palą- cym dzieła He-nego; w powojennej Francji, przedstawianej nadreali- stycznie, ogtupiająca śmiercią — go- tują Piccasu przypomina, nie tylko malarzowi, o roli sztuki. Kultura skupia w sobie myśl, piękno i życie narodu — jego istotę.

Broniąc sztuki narodowej, broni Erenburg przede wszystkim prawa narodów do niepodległości, „Lepiej umierać po francusku, niż żyć po amerykańsku” mówi w jednej z je- go powieści robotnik francuski. I nie tylko mówi — bo klasa robotni- cza i jej partia jest w utworach Erenburga produkującym obrońcą po- koju i niepodległości, czolową siłą w walce o pokój, wzorem patriotyz- mu. Piękny wyruszył uzyskała ta na- czelna tendencja ideowa całej sztuki Erenburga w ostatnim jego prze- mówieniu na Kongresie Narodów w Wiedniu.

Erenburg nie tworzy nigdy w swej prozie i publicystyce schemata. Każda postać jest u niego indy- widualnością swinstą, pisarz psycho- logicznie najdrobniejsze odruchy jego postaci, potrafi ukazać nieuproszczone oblicze zwolennika propagandy wo- jennej. W wielu wypadkach prze- cież własne przekonanie człowieka o życiu jest sprzeczne z jego postępo- waniem w życiu. Tej sprzeczności podlegają często ludzie obozu wojny. Zbliżają się oni lub oddalają od zro- zumienia swego zakłamania. Dla jednych jest ono hazardem i rozko- szą, dla drugich plonącym domem, z którego nie mają już sił wysko- czyc. Innego wyjścia nie szukają, choć są tak zakłamani, że czasem brzydzą się tymi, którzy mówią o wojnie cynicznie i otwarcie. Galeria postaci i takich zwolenników „ery atomowej” potrafił przedstawić Erenburg, bez popadania w jedno- stronny schematyzm „czarnych cha- rakterów”.

Obok utworów Erenburga nie można przejść obojętnie. Artyzm pi- sarski prowokuje reakcję uciuciącą czytelnika. Kontrasty świata, jakie przedstawia pisarz, powodują, że jest on gwałtowna i zmienna. Smu- tek obok radości, gniew obok spoko- ju, obok nienawisci, miłość. Niema- wiść Erenburga jest skierowana przeciwko nosicielom „starego”; sympatię pisarza mogą zdobyć jed-ynie ludzie idący w przyszłość. Zgod- ność postępowania z przekonaniami i płynące stąd poczucie wolności jednostki i celowości życia jest do- stępne człowiekowi wtedy, gdy ży- cie jego nie znajduje się w sprzecz- ności z obiektywną logiką postępu. W bezsensie ustroju, w którym żyje zachód, osiągają ją jedynie ludzie, którzy walczą o nowy lepszy świat. Miłość — to ostatnie 500 franków, przestanych strajkującym górnikom przez matkę trzech zabitych na woj- nie synów; miłość — to kwiaty rzu- cane przez robotników francuskich dla radzieckich delegatów na Kon- gresie Pokoju; miłość, to wreszcie wspólna droga chłopca i dziewczyny socjalistycznej, wojowników o pokój. Z obrazu tragedii człowieka i tragedii społeczeństwa dolarowego imperium, ocala Erenburg, co, czego nie moż- na ani kupić, ani sprzedać — wią- rę w osagałość ludzkiego szczęścia. Z czego ona wypływa?

Na Wschodniokowym Zjeździe Pisarzy Radzieckich Erenburg po- wiedział: „Jedno nie ulega dla mnie wątpliwości — jestem zwykłym pi- sarzem radzieckim. To moja dumą”. I dalej: „Nie piszemy po prostu książ- ek, zmieniamy z ich pomocą życie, co niezwykle zwiększa naszą odpo- wiedzialność”. W tych słowach za- myka się odpowiedź na postawione przez nas pytanie. Szczęście jest o- siągalne, bo osiągnęli je już ludzie budujący nowe życie. Szczęście jest osiągalne, bo obrazuje je pióro pi- sarza w służbie idei postępu, bo walczy o nie jego słowo delegata na światowych Kongresach Pokoju, pi- sarka, który w swym ostatnim arty- kułku stwierdził: „U progu roku 1953 możemy powiedzieć, że waga histo- rii drgnęła: pokój przeważa wojnę”.

Mieczysław Ingłot

WITOLD BILLIP

O DRODZE POWROTNEJ

NOWA powieść Jerzego Broszkiewicza — to książka o trudnym dojrzeniu polskiego dziecka na emigracji, to książka o międzynarodowych perspektywach patriotyzmu i o drodze powrotnej emigranta do kraju. Za- wartość ideowo — poznawcza po- wieści przekracza zresztą zdecydo- wanie zakres, który sugerują po- wyższe trzy formuły. Ambicje au- tora były bardzo poważne: zapra- gnał on dać w ramach utworu kil- kusetstronicowy obraz całokształ- tu życia we Francji w latach od zakończenia wojny do okresu, w którym podnosząca głowę reakcja nie uważała już za konieczne uda- wanie współpracy z komunistami, w latach od czasu, gdy Komunistycz- na Partia Francji organizowała w trudnych warunkach powojennych wydobycie węgla, do momentu, gdy kopalnie spod władania narodu przeszły już zdecydowanie na włas- ność burżuazyjnego rządu i ta sama KPF stanęła na czele krwawo tłumionych strajków górniczych. Jeśli dodamy do tego, że powieść zaczyna się jeszcze w okresie oku- pacji hitlerowskiej i daje tej oku- pacji wcale pokazy przekrój, jeśli pamiętać będziemy, że sprawy Po- laków we Francji ukazane zostały na tle tego, co w Polsce działo się przed wojną, a przede wszystkim na tle przemian powojennych — jasnym się stanie, że Broszkiewicz wziął na swe barki niemały trud pisarski. Czy i o ile zdołał go po- dźwignąć? Zanim przejdę do od- powiedzi na to podstawowe dla oceny książki pytanie — parę u- wag niezbędnych dla ustalenia kry- teriów oceny.

Książkę Broszkiewicza wydała „Nasza Księgarnia” jako powieść dla młodzieży. Nie trzeba chyba już dziś dowodzić, że przyporząd- kowanie utworu do grupy dzieł dla młodych czytelników nie może w żadnym wypadku oznaczać obni- żenia kryteriów oceny, przeciwnie — spowodować musi zastrzeżenie tych kryteriów. Nie od rzeczy mo- że jednak będzie przypomnienie in- nego triuzmu: twórczość dla mło- dzieży ma swoje specjalne wyma- gania, wynikające ze szczególnie ważnych w niej funkcji wychow- awczych, z konieczności przeka- zania czytelnikowi trudnej wiedzy o świecie w formie przystosowanej do jego poziomu, a więc bardzo prostej i ideowo klarownej, po- przez żywe, przekonujące obra- zy, które by trafiły do uczuć i fantazji dziecka, kształtowały jego światopogląd i poczucie piękna.

Powysza dygresja wprowadza za- sadnicze uzupełnienie do pytania postawionego na wstępie. Będzie ono teraz brzmiało: czy Broszkiewi- czowi udało się w ramach powieści dla młodzieży podźwignąć w pel-

*) Jerzy Broszkiewicz, Jacek Ku- la, Warszawa, 1952, Nasza Księgarnia, s. 413.

JOZEF RURAWSKI

NIEWYKORZYSTANE MOŻLIWOŚCI



Jerzy Pytlakowski

ROK 1952 przyniósł nam szereg książek mówiących o życiu i walce klasy robotniczej krajów kapitalistycznych. Świetna powieść Strykowskiego „Bieg do Fragała” ukazała walkę, jaką prowadzi lud włoski przeciw rodzimym i obcym kapitalistom. O nieugiętej postawie robotników francuskich mówili książki Niny Rydzewskiej, Broszkiewicza, częściowo St. Kowalewskiego i innych.

Fakt, że wielu pisarzy zajęło się tym właśnie zagadnieniem nie może być oczywiście przypadkiem. Rzecz prosta, że potrzebne nam są dobre książki ukazujące bohaterstwa, nieugię- tą postawę klasy robotniczej krajów kapitalistycznych. Potrzebne, bo poprzez obraz literacki zbliżają do nas ludzi o których walce czytamy w prasie codziennej. Potrzebne, bo jesz- cze bardziej jaskrawo, jeszcze bar- dziej wyraziście pomagają nam zro- zumieć jak wspaniałą i trudną drogę przebyliśmy, jak wielkie są nasze o- siągnięcia i sukcesy, jak inne nasze życie wolne od wyzysku własnego i obcego kapitału.

Ale jeśli sięgnąć do tej tematyki staje się zjawiskiem zbyt częstym, wówczas sprawa zaczyna być niepo- kójką. Rozumujemy intencje autorów. Nie mniej jednak czytelnikowi musi nasunąć się pytanie: Czy to przypadkiem nie jest jedna z form

ucieży podjętej problematyki? Odpowiedź jest tu o tyle trudna, że nowa powieść autora „Kształtu miłości” mogłaby służyć za przy- kład książki nierównej, w której obok partii bardzo udanych, wy- stępują elementy słabsze lub wręcz „hybrydy”.

Do mocnych stron powieści za- liczyć należy wyraźną umiejętność bardzo łatwej, prostej, a jednocze- śnie celnej charakterystyki postaci. Sam Jacek Kula to poważna, choć nie w pełni może wykorzystana szansa ukazania młodzieżowego bo- hatera pozytywnego. Ta zdecydo- wanie udana postać przedwcześnie dorosłego w trudnym życiu chłopca, który nic nie stracił z bardzo zresztą sympatycznych młodzień- czych cech, dobrze wyraża sformu- łowaną na wstępie problematykę książki. Wyraża ją dobrze przede wszystkim dlatego, — że żyje włas- nym, wewnętrznym umotywowanym życiem, że każde życiowe posunię- cie Jacka znajduje oparcie w zna- nych i bliskich czytelnikowi ce- chach jego psychiki. Również za- daną w zasadzie, choć bardziej nierówną, uznać należy sylwetkę ojca Jacka, Jana Kuli. Uderza przede wszystkim bogactwo intelektual- ne tej postaci. Stosunek Jana Kuli do spraw kraju i obowiązków wo- bec niego nosi cechy nie tylko kła- sowej ideowej, lecz także pasji i dociekliwości intelektualnej. Zwró- my uwagę na wielką trafność są- dów tego mądrego robotnika o bo- gaty doświadczeniach życiowych. Przypominajmy sobie choćby jego przemówienie po wystąpieniu lon- dyńskiego emisariusza, czy związa- ny z tym wystąpieniem rozmowę z Musiałem. Pamięta się również pozostałe postaci: ojca Rouget, rodzinę włoskich emigrantów Fa- sellich, czy drugoplanowo wy- stępujących: kondotiera londyń- skiego kapitana Zimorowicza, bez- ręcznego kolportera „Humanité” — Cote’a, a wreszcie mądrego i we- sołego sofera Marcelgo, co zdołał całe więzienie rozkołysać „Między- narodówką”. A jednak „Jacek Ku- la” mimo tych wszystkich walorów budzi poważne zastrzeżenia, przede wszystkim jako powieść dla mło- dzieży.

Zajmijmy się dwiema sprawami — kwestią adresu czytelniczego książki i kwestią organizacji arty- stycznej materiału powieściowego. Sprawa pierwsza. Dla kogo książ- ka została napisana? Wiemy, że dla młodzieży. Świadczy o tym zresz- tą szereg jej cech — chociażby sposób charakterystyzowania bohate- rów, lub — jeszcze dobitniej — tłumaczenie spraw i rzeczy znanych przeciętnemu dorosłemu czytelniko- wi. A jednocześnie przypominajmy sobie szereg postaci i sytuacji, któ- re w takim ujęciu do powieści dla młodzieży wejść nie powinny, żeby wymienić chociażby kilka dobrych skądinąd epizodów z gestapowcem Boelkem, przypominajmy sobie fra-

zeologię taką, jak: „...zart szkolny rodził się gdzieś w połowie drogi pomiędzy nim a Maksem Pleve- tem” lub „równoczesna wielorakość owych inności”. Tak się nie pisze dla młodzieży. Młodzież, która zro- zumie i oceni tego rodzaju pisar- stwo powinna już czytać literaturę „dla dorosłych”. W czasie lektury „Jacka Kuli” nasuwa się nieudpar- cie przekonanie, że ma się do czy- telnika z młodzieżą staranną i konse- kwentną przeróbką „młodzieżową” książki, która w pierwotnym za- miarze autorskim miała być prze- znaczona dla czytelników dojrz- ałych. Stąd pekięcie, nie jedynie zresztą, jednolitego kształtu arty- stycznego powieści; tu leży, nie je- dyna zresztą, przyczyna zamęcenia jej komunikatywności i zmniejsze- nia sfery oddziaływania.

Sprawa druga. Przeczytajmy fragment: „Pewnego dnia — a był to jeden z dni marca, słoneczny i ciepły — Kula został wywołany z geografii. Podszedł do mapy.

— Opowiedz — rzekła pani La- biche. — Opowiedz nam o Polsce. — Uśmiechnął się — w uśmiechu była wdzięczność. Odgarnął z czoła włosy.

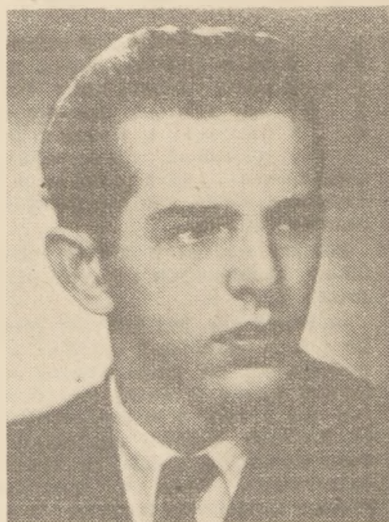
— Polska — zaczął — jest pięknym krajem... — Jakże? — przerwała. — Nie widziałeś jej nigdy. Więc skąd wiesz?

— Wiem — powiedział ostro.

— Mów dalej — uśmiechnęła się z nieoczekiwaną dla siebie samej czulością.

— Polska — powtórzył raz jesz- cze, patrząc jej prosto w oczy — jest bardzo pięknym krajem”.

To jest niewątpliwie dobre pisar- stwo. Takich przykładów można by mnożyć wiele: tytrady Fasellego, pierwszy wiec i przemówienie ojca Rouget, wiec z Zimorowiczem, wszystkie rozmowy Jacka z Joanną (bardzo miło i ciepło przedstawiona jest ta półdziecinna miłość), scena w więzieniu i wywody Marcela — itd. itd. Każdy ze wspomnianych fragmentów to załączek opowiadania albo nawet całe opowiadanie. Nie- które z nich odznaczają się wiel- kim napięciem dramatycznym, wy- razistością i plastyką opisu (widzi się wprost starego Grzesiaka, który mówi londyńskiemu wysłannikowi: „Idź precz”), inne — najszczerzym, choć przytłumionym tonem lirycz- nym (Joanna cerująca Jackową ko- szulinę). Lecz autorowi, tak swo- bodnie poruszającemu się w faktur- ze drobnego opowiadania, wyraź- nie nie starczyło tchu na powieść Gdby książką była tylko zbiorem obrazków o różnej kompozycji — byłoby jeszcze pół biedy. Jest go- rzej: „Jacek Kula” to bardzo zresz- tą ogólnikowa kronika z źlejęj ówczesnej Francji, ilustrowana świetnymi nieraz obrazkami z ży- cia polskich i francuskich górników. Zawartości ideowo-poznawczej tych obrazków starczyłoby na dobrą po-



Jerzy Broszkiewicz

wieść, kiepska publicystyka to ty- lko wynik chęci dopowiedzenia za wszelką cenę tego, co się w ramach akcji nie zmieściło, a co w myśl najlepszych tradycji „wszystkoiz- mu” koniecznie trzeba było „uwy- publikować”. Tu jest pole do popisu dla miłośników tzw. „psychologii twór- czej”. Normalne pytanie: „co autor miał na myśli?” zastąpić można takim: „czy autor naprawdę sądził, że ukazać typowość kopalni Mol- liny można tylko przez odpowiednią wstawkę publicystyczną, czy też może sądził inaczej, a tylko nie zdołał odnaleźć odpowiedniej formy wypowiedzi artystycznej?”.

Następna ze spraw pokrewnych. Broszkiewicz zupełnie nie umie konstruować intrygującej fabuły w skali całej powieści. Osiaga — jak to już wspomniano — znaczne napięcie dramatyczne w ramach ty- powych struktur nowelistycznych, jasne jest jednak, że w ten sposób rezygnuje właściwie z jednolitego, przetrzyskiego szkieletu akcji, przy- cągającej przez cały czas uwagę czytelnika. Nie trzeba dodawać, jak bardzo ryzykowne jest zastosowanie tego rodzaju metody pisarskiej w książce dla młodzieży.

Powysze zastrzeżenia odnoszą się do świadome przyjętych i konse- kwentnie realizowanych założeń au- torskich. Są jednak i potknięcia, które się w ramach żadnej konce- pcji wytłumaczyć nie dażą. Mniej rażące wypadki powtarza- nia słowami publicystyki tego, co już w pełni zostało wyrażone w obrazie artystycznym, zdarzają się w książ- ce często.

A oto wnioski z analizy. Jeśli nowej książki autora „Oczekiwania” nie sposób skwitować po prostu ja- ko chybioną powieść, to dla tych wartości utworu, które kryją się w nim pomimo błędnej koncepcji ca- łości. Stwierdzić bowiem trzeba, że stosunkowo zwarty i pełny kształt artystyczny otrzymały jednak spra- wy najważniejsze — kwestia doj- (okończenie na str. 7)

ucieczki od tematyki naszego włas- nego, trudnego i pełnego wilo- konfliktów życia? Czy przypadkiem nie jest to odpowiednik sytuacji we współczesnej dramaturgii, w której nawał sztuk historycznych spowodow- wał iż we określeniu jednego z kry- teriów, trudno utrzyć na scenie zwy- kły, codzienny, współczesny garni- tur?

Jak więc ocenimy niedawno wy- daną książkę Jerzego Pytlakowskiego „Pożegnanie z Fernandem Garimau”?

Na książkę tę składają się trzy opowiadania: „Pożegnanie z Fernan- dem Garimau”, „I tak można żyć” i „Listy”.

„Sprawa małżonków Garimau — pisze Pytlakowski — jest niezwykle dobitnym wyemkiem obecných czasów. Postanowiłem wykażać na przy- kładzie jednodniowych dziejów tego małżeństwa, jak zbrodnica polityka reakcyjna usiłuje, stara się niszczyć życie człowieka, który nie jest żad- nym politykiem, lecz który siłą rzec- zy: przez swą pracę, swe żywotne interesy należy do obozu postępu”.

Uzupelnijmy tę odautorską wypo- wiedź. Opowiadanie mówi o... Właści- wie trudno w dwu słowach streścić to opowiadanie. Można by powie- dzieć, że jest to historia robotnika, który przez swą łatwoumięność i zbytnią ufność do ludzi spowodował poważne komplikacje w akcji straj- kowej i naraził swoją żonę na bru- talne represje ze strony policji. Mo- żnaby tak powiedzieć ale to nawet w połączeniu z cytowaną wyżej wy- powiedzią autora nie da pełnego obra- zu. Dlaczego? Dlatego chyba, że opo- wiadanie jest niesłychanie spiętrzo- ne, że główna sprawa gubi się w wilo- wu wątkach, jeśli nie głównych, to z pewnością nie mniej ważnych. Ale opowiadanie jako gatunek literacki ma swoje wymagania. Zmusza auto- ra do powściągliwości, zmusza do skupienia uwagi na jednym proble- mie i właściwie uniemożliwia zbyt- nie rozbudowanie tego problemu wieloma innymi, bo wówczas powo- duje wrażenie niezamierzonego przez autora skomplikowania i rozwiekło- ci. A tego nie uniknął niestety Py- tlakowski. Piszę niestety, bo mimo iż

wszystkie wątki wiążą się z zasadni- cym, wypływają z niego i uzupeł- niają go, jednak autor nie zachował odpowiednich między nimi proporcji, a przez to nie uniknął wrażenia roz- wiekłości i chaosu.

Ta wielotorowość wątków znalazła także wyraz i w samej formie opo- wiadania, które w pewnych partiach pisane jest w formie bezosobowej; narracji odautorskiej, w innych zaś autor wprowadza postać narratora, biorącego czynny udział w akcji opowiadania.

Wydaje się, że skrócenie wątku mówiącego o działalności angielskie- go korespondenta Stewessa wcale by opowiadaniu nie zaszkodziło, tym bardziej, że do tego właśnie wątku odnosić się będą główne zarzuty re- cenzenta. Najważniejszą sprawą wy- daje mi się tu zasada ośmieszania przeciwników.

Stewess korespondent brytyjskiego koncernu prasowego, który według słów autora: „Miał nie tylko kształ- tować opinię publiczną swego kraju, lecz przede wszystkim miał być ocz- mi i uszami tych, którzy najbardziej wpływały na tę opinię” — nie mógł być na pewno głupcem. Musiał to być kuty na cztery nogi wyga, cwany i sprytny Tymczasem tak oto cha- rakteryzuje go Pytlakowski: w mo- mencie zetknięcia się policji z oku- pującymi fabrykę robotnikami: „Naj- nieoczekiwaniej wmiszał się w ca- ły spór korespondent brytyjski Ste- wess. Zwrócił się do nas cieniem z natężenia głosikiem, który sam przez się już pobudzał do śmiechu. Miał wyraźną treść, brakowało mu słów, wymagał sobie nogami drepnąć w miejscu...”

Nie jest groźny wróg, którego można tak łatwo ośmieszyć, wywo- lując na jedynie uczucie odrazy i po- lutowania. Zresztą wrogowie u Pyt- lakowskiego są nie tylko śmiešní. Nainwi i głupi w działaniu, przeja- wiają niezwykle przenikliwość w do- strzeganiu zbrodniczości swego po- stępowania i heroiczną odwagę w sa- mobiczowaniu. Po wykryciu przez robotników policyjnej prowokacji Stewess rozmawia z jednym z wyso- ckiej urzędniczką policji politycznej, Touseritinem, człowiekiem, który u- chodził za wszechwiedzącego, szcza- nego lisa. Oto co mówi Touseritin: „Komuniści schwytyli nas za rękę,

*) Jerzy Pytlakowski, „Pożegnanie z Fernandem Garimau”, Warszawa, 1952, „Czytelnik”.

(okończenie na str. 7)

O MŁODZIEŻY CHŁOPSKIEJ W PRZEMYSLE

HENRYK PAWLAK

W rejonie Wierzbicy

PRZEKAZYWANIE DZIEDZICTWA TRWA

NAPOTKAŁEM tego człowieka w przeładowanym wagonie pociągu, który wiozą nas w stronę wiejskiej cementowni w Wierzbicy pod Radomiem. Nie wymyślam nazwiska, gdyż prosił mnie o dyskrecję, nadając mi dla porządku nazwisko Sobczak.

Sobczak siedział w grupce robotników budowlanych i głośno perorował:

— Wcale nie jest tak jak piszą. Ze dobrze zarabiam? Owszem, nie powiem, ale jak długo jeszcze? Jak czytasz gazetę — każdy ma roboty pod dostatkiem, a w rzeczywistości to niedługo budowę skończymy i męczyć się człowiekowi dalej na własnej dziadowninie. Teraz w Wierzbicy pracuje tysiące, ale niedługo do tej ichniej techniki starczy 200 ludzi.

— Ja tam się nie martwię — wtrącił się inny robotnik — a bo to tylko jedną Wierzbicę w Polsce budują? Skończysz tu — zaczynasz gdzie indziej.

Ale Sobczak nie był przekonany. Zwrócił się do mnie zupełnie nieoczekiwanie, jakby spodziewał się, że go poprze.

— Nie mogę się przenosić z miejsca na miejsce. A bo to ja cygan? Kawałek ziemi mnie trzyma. Pola nie rzuca, choć to dziadostwo, ale dzisiaj i na krowinie zarobisz, jak mleko odstawią, czasem się za dwie świnki uchowa. Gdzie ja pójdę? Na koniec kraju, kiedy stara i dzieciśka tu?

Nie zabrałem głosu. Zdetonowało to Sobczaka tak dalece, że milczał przez całą drogę, a w końcu poprosił, żeby zataić jego nazwisko, jeżeli chciałbym wykorzystać to co mówię.

Należy doprawdy żałować, że w pobliżu Wierzbicy nie ma wysokiego wzgórze, z którego dąłoby się o garnąć całość imponującej budowy. Przeszedłem niemały kawałek drogi od kamieniołomów aż po cementownię. Wszędzie setki ludzi, zatrudnionych przy najrozmaitszych robotach budowlanych.

Najbliższe powiaty w Kieleckim okalają Wierzbicę. Kozielnicki, radomski, iżecki i kielecki. O tych to stronach pisał Żeromski: „w innej okolicy wynosi się opuszczony pies”. Ale ludzie nie mieli gdzie iść. Ilość sproletaryzowanych, biedniackich gospodarstw wynosiła w tych powiatach przed wojną przeciętnie 40 — 50 proc. ogółu. Prymitywna gospodarka powodowała, że ziemia niesłychanie mało wydawała. Pobliskie wsie Osiny, Krzyżanowice, Polany, Trębówce zbierały 10—11 q żyta z ha. Na tej ziemi procent ludzi z wyższym wykształceniem wynosił — 3, a analfabetów — 45 w sąsiednim powiecie — Iża!

Przyłącza się do nas młodzieńki 23-letni „ojciec” cementowni — Kazik Walkiewicz. Gościńność zetempowców, chęć pokazania wszystkiego, jest wprost żenująca. Zmuszają mnie do wchodzenia w rozmaite zakamarki, wspinają się po drabinach, włączają pod piec. Co gorsza drapie się na nie. Z takiego właśnie pieca koleżanka Zosia wskazała na domek-budę, ostatni ślad tutejszego, dawnego „pustkowiata”. Dym z komina szedł prostą smużką, nawnie, jak na dziecienny rysunek.

Lecz mnie — przynajmniej szczerze — mniej do wszystkiego interesowało. Jasne, młodzi przyzwyczajeni do dziennikarzy, pokazują wielkie sily, tony kliniery, rozmach budowy i kilku sztandarowych przodowników. A ja uparcie — poszukajcie mi tych dwóch z pociągu, bo to reprezentanci podstawowej masy robotników budowy.

— Do diabła z takimi robotnikami — koledze Kazimierzowi wyrwało się do osławidzenia jakoś mimowoli.

— Do diabła, a to czemu? Jest! Sobczak pracuje w brygadzie ziemnej. Kieruje nią Józef Rola, przodownik pracy. Zapytany o organizację pracy referuje spokojnie.

— Jak się pracuje? Zwyczajnie, łopata. Kto chce zarabiać, to musi szybciej machać. Lepiej robisz, lepiej zapłaca. Kto bumeluje, to go spławiam do innej brygady i takie buty.

Malinowska i Walkiewicz byli wyraźnie zmieszani. Ładna odpowiedź dla przedstawiciela prasy, nie ma!

Tymczasem sprawa daje się wyjaśnić w sposób przekonujący. Znaczna część robotników, dojeżdżająca tu co rano, to po prostu małorolni chłopcy z okolicy, takie właśnie Sobczaki. I to więcej chłopcy niż robotnicy. Cała ich życiowa ideologia mieści się w słowach Roli — jak najwięcej zarobić. Opowiedział mi o tym szczegółowo Sobczak. Na dalsze budowy nie pójdą. Zarobione pieniądze lokują w gospodarstwie.

Ano — kupię maciorę, krowkę — jak Bóg da — podreperować ciulapę. Sobczak przyznał się nieśmiało, że myśli nawet o czarnym garniturze, jakiego nikt we wsie nie ma.

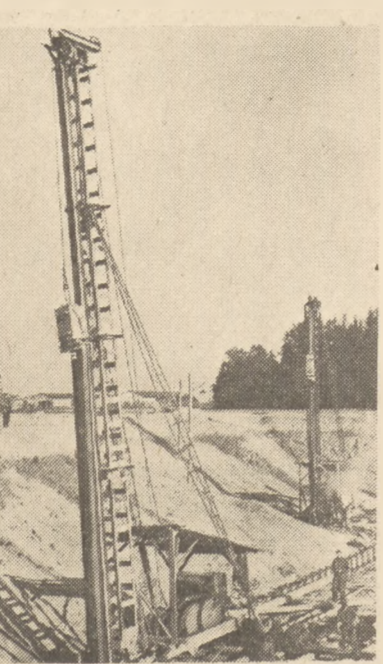
A niektórzy, no niektórzy, to zbierają nawet na morgi, powiadają wam, wiem co mówię. Zdumiewające zjawisko! Nowa, wielka, oszalała budowa, a na niej pewna grupa robotników myślących kategoriami dorabiających się drobnych posiadaczy?

Z Józefem Rolą sprawa nieco inna. I on chce — co prawda — jak najwięcej wyciągnąć pieniędzy z

Wierzbicy, ale myśli o zdobyciu stałych kwalifikacji, które pozwolą mu osiągnąć przy jakimś zakładzie pracy na stałe. Na gospodarce nie stawia już. Pieniądze potrzebne są mu na przeżycie.

— Nim się co stałego złapie — też trzeba żyć — powiedział mi spokojnie.

Od strony brygady murarzy, cięli i zbrojarzy niósł się wesół śpiew. Wyglądali na prawie beztrudnych ludzi. Byli młodzi od swoich kolegów z brygad ziemnych. Są to przeważnie chłopcy z pochodzenia, ale



ich związki z macierzystymi gromadami znacznie się już rozluźniły.

Urządzą błyskawiczną ankietę na małym odcinku budowy. Bierze w niej udział około 40 robotników.

— Kto pracuje po raz pierwszy — ręką do góry!

Podobał się im taki sposób badania. Nikt nie podniósł ręki. Okazało się, że wszyscy pracowali już przy budowie, lub rozbudowie zakładów pracy. Głównie w rejonie Skarżyska — Wierzbicka — Starachowic. Ale znalazło się kilku z Żerania i Gorzowa.

Zarabiają dobrze. Jeżeli bowiem Rola przy dużym wysiłku przekro-

czy 1000 złotych, to tu każdy osiągnie bez trudu znacznie więcej.

W czasie rozmowy doznawałem zmiennych uczuć. Z jednej strony cieszył mnie fakt, że ludzie ci postanowili już jasno i wyraźnie i jeszcze to mnie radowało, że z dumą wypowiadali takie na przykład zdania:

— Ano, budowanie to całe moje życie...

— Ale też mamy teraz kraj, gdzie się ruszysz — wołają o zbrojarzy!

— Chciałbym cały kraj tak zejść wzdłuż i wszerz i budować.

Lecz zjawili się również niepokoję. Toż to armia specjalnego typu wędrowników, barakowych czelowników. Antagonista Sobczaka — Mielnik opowiada ze smiechem, że studiuje dokładnie mapę kraju, wie, gdzie to się robi, na żadnej budowie do końca nie zostaje, lecz leci dalej, żeby mu miejsca nie zajęli. Wywiad mianowicie dopiero co ze Starachowic do Wierzbicy i już kombinuje, gdzie by się dalej ruszyć.

Ci budowlani to doprawdy zdolni robotnicy. Wielu z nich przydało by się na stałe w Wierzbicy. Lecz żaden nie zostaje, pakując swój kuferek i tyle go widac.

Dlaczego? I tę sprawę można wyjaśnić. Oto budownictwo jest dobrze płatne. Potwierdzają to członkowie stałej załogi cementowni, młodzi ZMP-owcy.

Jakże więc postępować, by Sobczaki przestali myśleć kategoriami drobnych posiadaczy, nie zwracali w pół drogi na wieś, by tak zdolni ludzie jak Mielnik nie pędzili w pogoni za groszem z miejsca na miejsce, lecz osiedlili się przy wielkiej fabryce, założyli wreszcie rodziny?

Prządek tu taki: nad ranem przepięknie pociąg, wyładowane samochody, ów tak charakterystyczny dla Kielecczyzny środek lokomocji, dowozi ludzi z okolicznych gromad, odległych nieraz o kilkadziesiąt kilometrów. W przewie obładowanej siadają nad gazetami. Jest to bardzo osobliwy widok: wiele setek ludzi chowa głowy w „Trybunie Ludu”, kieleckim „Głosie Ludu”, czy „Życiu Radomskim”.

— Ale trudno tu o systematyczną

pracę uświadamiającą. Ludzie uciekną nawet z zebrania, czy masówki, skoro podjedzie pierwszy samochód. Nawet stała młodzieżowa załoga cementowni w większej części dojeżdża. Widziałem starą, pożółkłą gazetkę ścienną, wiszącą od wielu miesięcy. Podstawowa masa robotników chętnie ogląda filmy pokazywane od czasu do czasu przez kino objazdowe, oklaskuje przyjeżdżające ekipy Artosu, śledzi uważnie przedstawienia teatralne, urządzane zresztą rzadko, ale sama życia kulturalnego i politycznego budowy nie tworzy. Nie ma na to czasu. Po pracy każdy myśli o powrocie do domu.

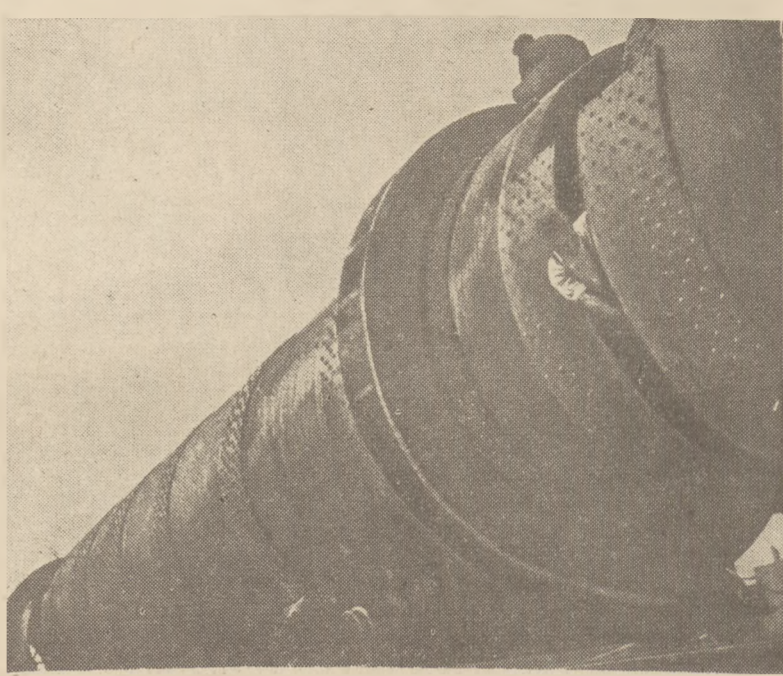
Zastanawiałem się długo nad problemem Roli. Toż to sprawa znacznej części załogi. Robotnik zdolny i nie prawdą jest, że myśli tylko o zarobku. Pamiętam jego słowa:

— Jak się człowiek obejrzy, aż dziw bierze, taką fabrykę wielką postawi! Ludzie w mojej wsi aż nie bardzo wierzą, żeby tyle cementu dawała.

Nie wyszukane słowa, ale odczuwam w nich jakąś nieuświadomioną dumę polityczną z faktu współudziału w pracy nad jedną z największych cementowni w Europie.

I znowu problem wcale nie nowy. Nieraz pisało się już o tym, wciąż jeszcze brakuje nam właściwych metod na odcinku pracy polityczno-wychowawczej nad chłopami, którzy idą w stronę klasy robotniczej. Pod tym względem Wierzbica przypomina Tychy, gdzie także — jak pisano — organizacje polityczne i Rada Zakładowa nie daje sobie rady w walce o pełną, socjalistyczną świadomość robotnika.

W Wierzbicy odbywa się pewien znamieny proces, który można nazwać przekazywaniem dziedzictwa. Stała załoga, obsługująca samą cementownię to — młodzież. Właśnie tacy jak Malinowska czy Walkiewicz. Zatrzymaliśmy się na dłużej przy olbrzymich silosach. Walkiewicz z niekłamaniem entuzjazmem opowiadał jak powstawały. Kilku ludzi dźwigało dzięki maszynom całe olbrzymie rusztowania na zawrotną wysokość. Chlo-



paka urzekła wspaniała technika radziecka, zaimponował mu kolektyw inżynierski, techników i majstrów radzieckich. Przyglądał się ich pracy, kiedy zszedł ze swojej zmiany. Nie mógł w żaden sposób rozstać się z cementownią.

W kamieniołomach i młnie porwało, kiedy zobaczył olbrzymie łamacze i potężne dźwigi.

Z szyn, po których jeździł dźwig spływały się skry.

Tu w kamieniołomach pojawił się na widowni nowy bohater mojego reportażu — Edward Seweryn, przewodniczący zakładowego koła ZMP.

Najpierw wystąpił w roli „ojca”. Wypędził po prostu dwóch chłopaków, którzy chcieli w pudle dźwigu trochę sobie w powietrzu pospacerować. Speszeni, uciekli jak zmyci.

W oburzeniu Seweryna, które brałem początkowo za zwykłą u młodych chęć popisania się, zauważyłem wiele troski o człowieka.

— Wyleci taki dureń i co będzie? A ma przecież przyszłość przed sobą.

Ale do rzeczy — w czym się wyraża owo przekazywanie dziedzictwa? Seweryna przygnała do

Wierzbicy chęć zarobku — sam się do tego przyznał. A co go zatrzymało? I czy tylko jego?

Młodzi to gospodarze cementowni. Złżyli się z fabryką, znają każdą maszynę na wylot, objaśniają każdy dosłownie mechanizm. Przypomni mi się radziecki film obrazujący powstawanie Komsomolska. Cóż — Malinowska, Seweryn także spalił tu pod gołym niebem w letnie noce, nim powstał niewielki jeszcze hotel robotniczy.

To pokolenie nie jest tak obciążone jak Sobczak reliktyami przeszłości. Co innego bowiem jest porzucać stare gniazdo na rzecz nowego, co innego *własnymi rękami budować pierwsze w życiu własne gniazdo*.

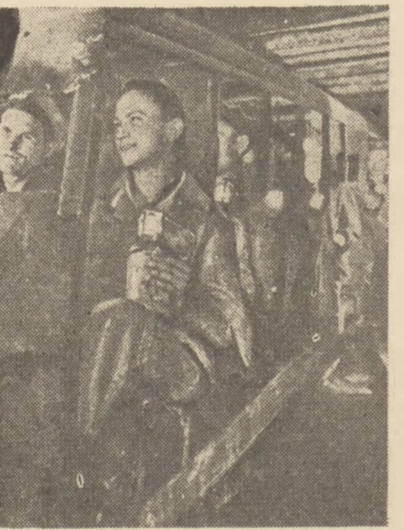
— Nie mówcie o pieniądzach — Seweryn powiedział to poważnie — mamy już piękny gmach dyrekcji, będzie już i osiedle.

Przypomniałem Sobczaka i Rolę. — To potrwa kolego, ale oni tu zostaną. Obok pracy ideologicznej, którą ruszamy, silniejszą wymowę będzie miało nowe miasteczko na mapie — Cementownia. Nie wiem zresztą jak je nazwiemy.

Henryk Pawlak

CZESŁAW MICHNIAK

P I E R W S Z A S Z Y C H T A



OJCIEC Mariana posłada w Łądku półtora hektara ziemi i konia, którym jeździ po drzewo do lasu. Ludzie mówią: stary Czerwiec jest wozakiem. A ma go wyżywić — żonę, pięcioro dzieci i teściową — staruszkę.

Mariana, czwartego z kolei syna, gdy skończył szkołę powszechną, rodzice oddali do terminu. „Krawiec męski i damski” a także od wielkiej biedy — wojskowy nazywał się Gołębiowski i mieszkał w Łągowie. Osada jest parterowa z wielkim rynkiem pośrodku i kilkoma uliczkami, które za ostatnimi domami wpadają zaraz w głębokie parowy, to znowu gubią się w polach, obłożonych miejscami grubą warstwą lessowej gliny.

Nauka szła dobrze i już po pół roku chłopiec potrafił skrócić spodnie. „Będą z ciebie ludzie” powtarzał mu często majster. „Masz dryg do tej roboty, pamiętaj, że krawiectwo to najpiękniejszy z zawodów” a chłopiec nie lenił się.

Poznałem go w październiku ub. r. Siedzieliśmy w mieszkaniu Czerwoców we trzech — przedstawiciel ZMP z powiatu, Marian — i ja.

Pogoda była paskudna. Wiatr trząsał chałupę jak niecierpliwego ogrodnika drzewkiem owocowym. Nasze twarze zamazywał wczesny zmrok.

— Poczekajcie, przyniosę lampę — powiedział Marian.

Za chwilę wrócił, trzymając w ręku „kopcucha”. Dopiero teraz mogłem mu się przyjrzeć. Był szczupłym, średniego wzrostu szatynem, o twarzy pełnej, pogodnej.

— Słuchaj-no — powiedział delegat z powiatu, nachylając się nad stołem. Marian wyciągnął ku niemu szyję — sprawa jest poważna, nie przelewki. Chodzi o węgiel, rozumiesz?

— Poproście kolegę Czerwca...

W tej samej chwili towarzyszył z kopalni „Bobrek” rzucił zacięte spojrzenie w kierunku drzwi. W górnicy mundurze robił wrażenie wojskowego. Delegat Ministerstwa Górniczego patrzył w okno, za którym stał cień szubry i otaczającego go cielska poprzyplepanych do siebie budynków. Było mglisto. Prószył śnieg. Gdzieś dzwonił tramwaj.

Marian podszedł do stołu, ubrany w roboczy kombinezon, z którego pod szyją wyszliżwiwała się czerwieni krawata.

— Coś robił dotychczas „w cywilu”? — spytał towarzyszył z „Bobrka”.

— Pracowałem u krawca...

— Hy, krawiec — mruknął „Bobrek” z nutą pobłażania w głosie.

— Chcesz zostać... — zagadnął delegat.

— A pewnie, że chcę...

— A może rozmyśliłeś się, chcesz wrócić z powrotem do roboty przy maszynie do... szycia? — próbował chłopca górnik w mundurze. — Nie masz stracha chłopcze?

Leżał przed nim formularz umowy o pracy — No, więc co, żegnaj się z krawiectwem.

Chłopiec podpisał się zamasyżycie. Delegat z Ministerstwa uściśnął mu rękę. To samo uczynił towarzyszył w mundurze. I oto przed nimi stał ładowacz Marian Czerwiec.

— A więc, Wykrota — powiedział sekretarz Komitetu Partyjnego — dostaniecie Czerwca, kolegę Mariana Czerwca — poprawił z uśmiechem, spoglądając na drobną sylwetkę świeżo upieczzonego ładowacza. Kombinezon leżał na nim jak ulany, kask lśnił nowością. Marian był skupiony, poważny, niemal uczysty — dziś jego pierwsza szycia.

„Chudzioczek”, pomyślał sceptycznie rębacz. Ano dobra!

— Cześć — rzekł głośno. Na imię miał Herbert. Ubrany był w swoje codzienne lachy, wyswiechtane węglem i smarami. Wyciągnął rękę i obrzyknął jak grabie, nakrapianą obficie czarnymi punktikami. Dzieciśki rob robił na kopalni.

— No, to będziemy razem fedrować, ni? — rzekł. Śmiał się, ukazując zęby białe jak alabaster.

Herbert wyciągał dotychczas do 160 proc., ale miał za ładowacza Kandziolę, który robił już z 5 lat na „Bobrku”. Jakto będzie teraz z tym chłopcem? Spojrzył na Czerwca, który zagapił się na zielono-ozarną flagę zwisającą z masztu. Jutro Barburka. W kopalni panował ruch przedświąteczny. Szkoła dekoracje transparenty. Świeża twarz chłopca wyrażała prawie dziecinny zachwyt. „Tak, to surówiec jeszcze”, pomyślał Wykrota. I nagle ogarnęło go zżądzenie — żeby mu ten snopel nie popsuł roboty.

— Idziemy, pieronie — rzucił gniewnie.

Ludzie przywarowali w dowierzeniach. Na filarze nie było żywej duszy. Nagle rozległ się grzmot. Marian podniósł wzrok. Od ściany szedł czarny tuman pyłu. Wykrota dał znak ręką, że już. Podnieśli się do szturmu. Powoli zaczęli się odsłaniać las stempli. Przystopili do ściany. Oskardy zachrzęściły na ociosie. Łaty węglowe spadały kawałkami na ośpisko. Stromizną biegly rynny, podające sobie węgiel, jak ludzie wiadro wody w czasie pożaru. Marian chwyciłszy za łopatę lunął na nie pierwszą porcję urobku. Rynny poniosły go do chodnika poprzecznego i dalej na taśmę.

Zdjął bluzy i koszulę. Oczy za rzyły się przejęciem. Nagi tors chłopca świecił się od potu.

Wykrota zerknął na swego ładowacza. Helm przekrzywił mu się śmiesznie na głowie.

Wykrota zauważył że ruchy Mariana są nieskoordynowane, nerwo-

stempel spoglądał z politowaniem. „Nawarzyli oni piwa Wykrocie, dając mu tego cybucha z jakichś tam Kieci”.

Herbert wyjął z kieszeni staromodny zegarek. Ładowanie przedłużało się. Normalnie biorąc powinni już się szykować do trzeciego odpalu.

Nadeszli budowacze z Pietraszkami na czele, gięli się pod ciężarem drzewa. Nowa porcja stempli pod stop.

— Przedz diabła zaś ruszaj się. — Herbert zabrał Marianowi do ucha. Mignął mu przed oczami cebulą. Czas uciekał.

— Przecież robie, nie wdzicie — odkrzyknął Marian kszluszając się pyłem, który weisnął się nagłe do gardła.

Znowu ukryli się za rgiem chodnika. Za chwile uderzyło w nich powietrze, jakby gdzieś blisko eksplodowała bomba. To był trzeci wybuch, który decydował o wykonaniu normy dziennej. Teraz wszystko zależało od ładowacza. Rzucił

Wykrota pochylił się nad Marianem. Na obspanej czarnym pyłem twarzy chłopca bieliły się dwie pionowe stróżki.

— Co wam, pierona — głos był jeszcze szorstki, ale brzmiał w nich jakiś inny ton.

— Lituj się nad nim, lituj — szedł Bardzik.

Rynny trzęsły się, były puste. Płomyki karbidówek kładły się równoległe do ziemi — od przewoźnego powietrznicy szedł nieustanny cug.

— Hy, przypomnij sobie, jak zaczynałeś. Szło ci tak od razu? Herbert wybuchnął nieoczekiwanie zwracając się w stronę strażalowego. — To przeca karliczek ze wsi — mówił już spokojnie, patrząc na Mariana.

— Et, fanzolisz — gderał Bardzik — przez niego norma się wścieknie.

— Tak nie można towarzyszu Bardzik, nie można — powiedział z powagą Herbert. — Trzeba chłopca nauczyć.

Za chwilę rębacz i strażalowy mieli w rękach łopatę. Rozpoczęło się ładowanie na wysięgi. Marianowi zrobiło się jakoś dziwnie. I znowu poczuł w ustach siony smak.

Wierkali i strzelali jeszcze dwa razy. Za mało było rynnien dla trzech ładowaczy. Ostatecznie nie tylko wyrobili, ale jeszcze przekroczyli normę dziennej.

Przed północą schodzili ukośnym chodnikiem w kierunku ganku podstawowego. Zrobiło się chłodniej. Przyspieszyli kroku. Świeże powietrze było ich delikatnie po twarzach, osuszało pot.

W murowanym ganku czekała elektryczna kolejka. Pod sklepieniem tunelu zobaczyli czerwone oko semafora. Stąd było jeszcze około dwóch kilometrów do windy. Kolejka ruszyła ze stukotem, zagłębiając się w ciemną czeluść. Kerunek — podszycie. Jechali z pięć minut. Przy siatce dźwigu stała grupka ludzi, było między nimi kilku ochotników. Wśród śmiechów poznał jeden drugiego.

— Patrzcie jak Bąka zrobiło na Murzyna!

— Marian, rodzona matka cię nie pozna!

— Eolek wygląda jak diabeł szpoki!

Winda wciągnęła ich na górę. I wtedy Marian ujrzał strzęp granatowego nieba i gwiazdy zimne, milczące. Te same świecą nad Sądkiem, pomyślał. W tej chwili nie czuł się już tak samotny. I zapomniał o sionym smaku w ustach, bo oto ktoś ścisnął jego rękę, a ktoś drugi mówił śpiesznie:

— Słuchaj kamrat, nie damy się pierdnie, nie damy...

Bywa w życiu, że wielka miłość rozpoczyna się łzami.

Czesław Michniak

NIEWYKORZYSTANE MOŻLIWOŚCI

(dokończenie ze str. 5)

Pytlakowski zarysował obraz tego środowiska z dużą przenikliwością i znajomością rzeczy, demaskacja niebieskich ptaków emigracji obfituje w książce w dobrze uchwycone momenty: „Gdy Czerwinskiemu potrzebne były pieniądze, przychodził do Przemyskiego i mówił: Tak, stary, dobrze mi z tobą, dobrze mi z wami, lecz czas już na mnie. Nie tu po mnie — mojej nieobecności nawet nie dostrzeżecie, a ja się starzeję. Chciałbym już osiedleć na stałe, dośmam już tej ciągłej tułaczki po hotelach i pensjonatach... Czas, doprawdy czas — Przemyski nie próbował zwykłych w tym wypadku argumentów: zdrada, walka itp. Pytał po prostu: „He? — ostateczna wysokość pożyczki, dotacji, czy jak kto woli zapomogi zostawała w końcu oznaczona”. Tacy jak Czerwinski wysiugują się wszystkim, którzy dają pieniądze, z takich jak on rekrutują się kadry, na które liczą pułkownicy Zaleszczyca w swej służbie dla „słoni” i „zyraf”. Pomimo ostrości i celności pisarskiej satyry i w tym opowiadaniu napotykać fatalne samookarzenia kombinatorów, przypominające w sformułowaniu mowę prokuratora sądu ludowego. Postępujemy rozmową Czerwinskiemu z Przemyskim: „Mówisz, że jestem tajdak. To dobrze. Tacy ludzie u Maciagi i u ciebie są w cenie. Inni z wami nie chcą iść. Cóż ja na to poradzę (...). Przegraliście, więc nie możecie przebiec w ludziach... — Kto przegrał? — spytał sarkastycznie Przemyski (...). — Wiesz kto. Ty, Maciaga... — Więc dlaczego nie uciekasz, nie idziesz gdzie pieprz rośnie, lecz pętasz się koło nas? — Dlaczego? Dla tego samego, dla czego wy prowadzicie dalej przegrana sprawę. Bo bez niej byłoby skazani na ucieczkę pracujących rąk i mózgow i na czelnej zapłacie. Wolicie liczyć na zdobycie pieniędzy i władzy kosztem innych. I na to liczyście... — A ty? — Ja też... przy was — zakończył szeptem Czerwinski”. Wzajemne wytykanie sobie win i ciemnych machinacji nie jest rzeczą niezwykłą w środowisku emigracyjnym. Nagły przypływ wyrzutów sumienia Czerwinskiemu wy daje się jednak co najmniej nieprawdopodobny psychologicznie. Charakterystyczne są psychologiczne przedstawiciele robotniczej emigracji, którą niedługo wygnali z kraju i bezrobocie nie ustrzegło się natomiast autor od deklaracji i schematycznej ogólnikowości, które obniżają wyrazistość postaci bohaterów i robotnika Ikszy.

Opowiadanie „I tak można żyć” — napisane z dużą pasją pisarską jest chyba najlepsze w książce, celnie demaskuje machinacje emigracyjnych wykołajców.

✱

Opowiadanie „Listy” nazwałbym opowiadaniem niewykorzystanych możliwości. W znacznej części historii wysłania w siedemdziesiątą rocznicę urodzin towarzysza Stalina, listu od wdowy po robotnika, matki żołnierza francuskiego, zabitego w Vietnamie — kryją się wielkie możliwości stworzenia dobrego, wstrząsającego obrazu literackiego. Niestety jednak autor możliwości te w przeważającej mierze zaprzepścił. Opowiadanie to jest swego rodzaju przeciwieństwem tytułowego. O ile tam raziły zbyt sensoryczne elementy akcji (np. sprawa prowokacji z bombą zegarową w fabryce) i pewne dłużyzny, o tyle tutaj razić musi przewaga publicystycznie ujętych elementów opisowych. A szkoda, gdyż niektóre obrazy, zwłaszcza w poprzednim opowiadaniu, świadczą o dużych możliwościach autora w tym kierunku.

Autor niepotrzebnie włożył w ramy krótkiego opowiadania bogaty materiał zawarty w biografii bohatera. Pociągnął to za sobą konieczność ogólnikowości, niezbyt interesującego literacko relacjonowania całych partii zyciorysu bohatera. Poważną usterką utworu jest także brak indywidualizacji języka bohaterów, utrzymywanie zarówno komentarzy audiotorskich jak i partii dialogowych w tonie przemówień wiecowych: „Hiliterizm został pokonany jako jedna z form faszyzmu — odpowiadał Karol — ale faszyzm wciąż zagraża światu... Walka się zaostza. Klasa robotnicza jest coraz silniejsza i burżuazja, chwytając się metod faszyzmu, chce bronić siebie, więc bronić władzy, aby utrzymać ją jeszcze choć przez pewien czas. Dziś już jednak obie strony wiedzą, jak się ta walka skończy. Stare nie może zwyciężyć — w ten sposób przecięt nawet najaktywniejszy członek KPP nie tłumaczy sytuacji politycznej staruszcze — matce.

Książka Pytlakowskiego, ambitna w swych zamierzeniach naszkicowana obrazu walki klasowej współczesnej Francji, obciążona jest wieloma błędami, zaskakującymi w twórczości autora „Fundamentów” — książki mimo wszelkich usterek porażającej, która odegrała w swoim czasie istotną rolę w kształtowaniu przelomu we współczesnej literaturze polskiej. Szczególnie groźna wydaje się tu rezygnacja z bogactwa życiowych obserwacji, z wnikliwej analizy psychologicznej wzrost publicystycznego ujęcia problematyki. Zwrot do tematyki francuskiej, z konieczności mniej znanej polskiemu pisarstwu, niż życie własnego kraju, nasilił, jak się zdaje, ogólnikowość i schematyzm opowiadań Pytlakowskiego.

Józef Burawski

TADEUSZ MURAS

EPOPEJA CHIŃSKIEJ REFORMY ROLNEJ

W ŚRÓD książek wyróżnionych Nagrodą Stalinowską za rok 1951 znajduje się powieść chińskiego pisarza Czson Li-bo pt. „Huragan”. Jest to książka zasługująca u nas na specjalną uwagę i niewątpliwie na jak najrychlejszy przekład — stanowi ona bowiem najpiękniejszą i najbogatszą jak dotąd, epopeję chińskiej reformy rolnej.

Autor „Huraganu” urodził się w 1909 r. jako syn nauczyciela w prowincji Jan Hunan. W 1927 r. wyjechał na studia literatury chińskiej do Szanghaju. Tam zetknął się po raz pierwszy z literaturą rosyjską i radziecką. W 1932 r., gdy Japończycy zajęli Szanghaj, Czson Li-bo dostał się na dwa lata do więzienia za działalność rewolucyjną. Po wyjściu z więzienia Czson Li-bo wstąpił do Ligi Pisarzy Rewolucyjnych, którą kierował wielki pisarz narodu chińskiego Lu Sun. W czasopiśmie Ligi Czson Li-bo ogłosił pierwsze swoje prace z zakresu literatury i językoznawstwa. Po rozbięciu Ligi przez policję Czang Kai-szeka Czson Li-bo wstąpił do Chińskiej Armii Czerwonej. Przez kilka lat od 1939 r. wykładał na wydziale literatury Akademii Literatury i Sztuki im. Lu Suna w Jenanie. W 1946 r. opublikował tłumaczenie powieści Michała Szolochowa „Zaora ny ugor”. Krytyka radziecka z dumą podkreśla wpływ Szolochowa na twórczość Czson Li-bo.

„Huragan” to debiut powieściowy Czson Li-bo. Powieść ta powstała podczas gorączkowych prac nad przeprowadzeniem reformy rolnej na wsi mandzurskiej; pisarz był uczestnikiem jednej z brygad kierujących akcją. „Huragan” ukazał się w 1947—48 r. przynosząc autorowi ogromną sławę. W chińskim wydaniu utworu ten, jak informuje przedmowa do tłumaczenia rosyjskiego, posiada wiele dłużyzn, cechuje go czasem brak zwięzłości kompozycyjnej. W skróconym tłumaczeniu na język rosyjski niedostatkami te zniknęły zupełnie; ta wersja powinna się stać zatem podstawą do jak najrychlejszego tłumaczenia na polski.

Tematem powieści Czson Li-bo jest przeprowadzenie reformy rolnej w jednej z mandzurskich wsi. Polskiego czytelnika zdziwi niewątpliwie wstępne rozdziały pierwszego tomu powieści. Brygada, która przyjechała dla przeprowadzenia reformy rolnej wsi Juanmaotum, nie przystępuje przez długi okres czasu do likwidacji majątku miejscowego obszarnika i rozdziału ziemi. Brygada zajmuje się natomiast agitacją wśród najbiedniejszej ludności. Tworzy się organizacja związkowa w której najbardziej aktywni ludzie we wsi zaczynają mówić o swojej krzywdzie i uświadamiać sobie możliwości likwidacji i przejęcia obszarniczego majątku. Wszystko to dzieje się w tym samym czasie, kiedy obszarnik Han tao-lin mieszka nadal we wsi i przeciwdziała aktywnie działalności agitatorów. Rychło jednak zostanie temu położony kres.

Taka była taktyka Partii w prze-

O DRODZE POWROTNEJ

(dokończenie ze str. 5)

zewania ideowego Jacka pod wpływem reprezentowanej przez ojca i jego towarzyszy Partii, trudna kwestia ilości emigrantów do ojczyzny, w której zabrakło dla nich chleba, sprawa nowych perspektyw drogi powrotnej przed uchodźstwem przez Polskę Ludową. Autor, jak to często bywa, chciał za wiele na raz powiedzieć. Powoduje to zwykłe niedomogi artystyczne deklaratywizmu i niepełnego pogłębienia tematyki; w książce dla młodzieży stwarza niebezpieczeństwa obniżenia dynamizmu akcji. Jednakże „Jacek Kulak”, o ile nie zadołował młodego czytelnika jako całość, przynajmniej niewątpliwie jego uwagę, rozpal serce i wyobraźnię całym szeregiem interesujących fragmentów, które — traktuje to jako poważną pochwałę — godne są znaleźć się w wypisach dla młodzieży szkolnej.

Książka wydana została bardzo starannie: świetle ilustracje Kobzeka, dobry druk i niestanowiąca korekta. Jedno małe zastrzeżenie: przypisy. Nie wiem, czy pochodzą one od autora, czy od wydawnictwa. W każdym razie w sposób znamieny odbiło się to na niedookreśleniu adresu czytelniczego. Przepis objaśniający, że Maurice Thorez jest sekretarzem generalnym Komunistycznej Partii Francji, przeznaczony został dla całkiem chyba małych dzieci, pozostawienie zaś do uznania czytelników wymowy nazwisk francuskich i innych obcych świadczyłoby o liczeniu się z czytelnikiem starszym.

Witold Billip



prowadzaniu reformy rolnej w Chinach. Reformy realizowała tu miejscowa ludność pod kierownictwem i kontrolą komunistów. Ta metoda walki z obszarnictwem dała wspaniałe rezultaty. W walce z miejscowymi obszarnikami ludność wsi brała na siebie pełną odpowiedzialność, wiązała swój los z tymi reformami i, co najważniejsze, w konsekwencji sprzegała na zawsze swoje życie z losami Chińskiej Armii Czerwonej, zmagającej się z wojskami Czang Kai-szeka; amerykańskich imperialistów.

Taki wybór tematu, jego epickie ukształtowanie artystyczne sprawiły, że „Huragan” — przy olbrzymim bogactwie postaci i realiów życia chińskiego wsi — obrazuje w sposób pełny i przekonujący proces dojrzewania świadomości chińskiego chłopstwa. To jest właściwie główny, podstawowy walor powieści Czson Li-bo, która dlatego przede wszystkim zasługuje na przekład, że proces dojrzewania klasowej świadomości wsi jest równie doniosły i aktywny we wszystkich krajach zmierzających do socjalizmu. Czson Li-bo ukazuje wszechstronnie pracę awangardowej brygady od najtrudniejszych początków (kiedy na pierwszym zebraniu chłop Juanmaotum zgodził się skwapliwie, że trzeba z obszarnikami walczyć, ale w tym celu należy się udać do sąsiednich wsi, bo w Juanmaotum obszarnik... jakoś nie widać) poprzez pierwsze zbliżenie świadomości klasowej biedoty chłopskiej; aż do ostatecznego porachunku z obszarnikiem.

Czson Li-bo ukazuje, jak rośnie rewolucyjna świadomość człowieka przez głębokie, twórcze zastanowienie się nad własnym losem, zmierzanie ogromu doznanych krzywd i upokorzeń. Dlatego w pierwszym tomie ogromną rolę odgrywają często, interesujące dysgresje w formie opowiadań bohaterów ich wspomnień z lat udreki i potwornego uci-

sku. Opowiadania te dostarczają ogromnie bogatego materiału do poznania przeszłości chińskiego chłopca, jego wytrwałych marzeń o lepszym życiu, które zrealizowała Chińska Republika Ludowa. Głęboka rewizja własnego życia budzi bunt przeciwko starym porządkom; gruntują się nowe przekonania, utwierdza przywiązanie do władzy ludowej. Najbardziej porywające w „Huraganie” są właśnie obrazy rewolucyjnej inicjatywy chłopów, pobudzonej i kierowanej przez Partię. Czson Li-bo nie szczędzi oczywiście także dowodów trudności i zahamowań procesu dojrzewania klasowego. I tak np. dwukrotnie aresztowania miejscowego obszarnika nie przynoszą koniecznej konsekwencji: wieś w swojej większości nie dojrzała jeszcze do rewolucyjnego sądu nad swoim ciemnięciem; daje się nawet wziąć na łep udanej skruchy obszarnika. Ale wieś powoli wyzwala się z tych wiekowych obciążeń świadomości, by wreszcie własnymi rękoma przeprowadzić likwidację obszarnictwa i konsekwentną reformą rolną, wziąć na siebie pełną odpowiedzialność za dokonane przemiany.

I jeszcze jedno osiągnięcie „Huraganu” zasługuje na wydobywanie. Autorowi udało się stworzyć kilka pięknych i przekonujących postaci bohaterów pozytywnych: naczelnika brygady, przeprowadzającej reformę rolną; ludzi walczących o swe wyzwolenie wsi Juanmaotum. Czson Li-bo przekonująco zarysował proces wzrostu ich świadomości rewolucyjnej, ich wartości moralne, hart i odwagę rewolucjonistów, bohaterów ludzi, walczących o lepszą przyszłość.

Z tych wszystkich względów „Huragan” trzeba uznać za książkę w Polsce Ludowej bardzo potrzebną i z niecierpliwością oczekiwać jej polskiego tłumaczenia.

Tadeusz Muras

RYNEK — REGULUJĄCA ROLA PAŃSTWA — INTERESY CHŁOPÓW

(dokończenie ze str. 1).

część zarobku, pozbawić go nadziei na stabilizację rynku, a tym samym przy anarchii cen, które odbierają realną wartość pieniądзом zarobkowym w wysięgu pracy, obstabić będzie do podnoszenia tempa produkcji przemysłowej.

Ale się przeliczyli. Bo treścią procesu wyrażania nowych warunków ekonomicznych był stałe postępujący wzrost produkcji przemysłowej. (W 1950 r. — o 3 proc. ponad Plan, w 1951 — o 13 proc., w 1952 — o 16,8 proc. wg przewidywań). Przyspieszenie wykonania 6-letniego Planu na koniec 1952 r. wyniesie już na 3,5 miesiąca. Był stałe postępujący wzrost układu socjalistycznego w rolnictwie (rozwoju POM-ów, umocnienie PGR-ów, przyrost spółdzielni produkcyjnych). W rolnictwie indywidualnym rok suszy nie dął pełnego planu, ale rok 1952 poprawił sytuację i przyniósł nagromadzenie rezerwy.

Te właśnie osiągnięcia nowej ekonomiki pozwoliły na wyciągnięcie pełnych konsekwencji ze wskazań Bolesława Bieruta „że spójnia gospodarcza między klasą robotniczą i chłopstwem, będąca podstawą spójni politycznej tych klas, podstawą sojuszu robotniczo-chłopskiego — może się wzmacniać i rozwijać tylko w warunkach ograniczenia elementów kapitalistycznych, a natomiast narażona jest na niebezpieczeństwo w warunkach odradzania się i wzmacniania tych elementów”.

Uchwała Rządu z 3 stycznia br., wprowadzając reformy obrotu towarowego i regulację cen, otworzyła nowy etap dla tych właśnie warunków ekonomicznych, jakie w walce o wzrost produkcji, w walce z elementami kapitalistycznymi wsi i miasta, powstały w wyniku oflarnych wysiłków klasy robotniczej i pracujących chłopów.

✱

Reforma obrotu towarowego, za-

dolychczasową reglamentację podstawowych artykułów konsumpcyjnych i rozszerza obrót wolnorynkowy na nadykty towarowe, jakie pozostają w gospodarstwie chłopskim, po wykonaniu obowiązkowych dostaw. Reforma stwarza więc bodźce dla chłopstwa do zwiększenia produkcji. Wprowadza go na wolny rynek, zaspakajając tę jego duszę, którą nazywamy „duszą posiadacza”, sprzedawcy i nabywcy.

Ale ten wolny rynek nie jest już rynkiem Biłińskich. I nie może nim być, skoro wraz z wprowadzeniem nań mało i średniorolnych, wyminiata z niego właśnie Biłińskich i wiejskich i miejskich! Na rynku tym decydującym składnikiem staje się produkcja ekonomicznego układu socjalistycznego. Decydującym kupcem — przedsiębiorstw handlu państwowego i spółdzielczego.

Te dwa czynniki — towar socjalistyczny i handel socjalistyczny będą towarzyszyły na wolnym rynku towarowemu chłopskiemu i chłopskiej sprzedaży, z której bezpośrednio skorzysta konsument. Nie jest to więc poprzedni wolny rynek, na którym rolę regulującą pełnił w stosunku do konsumenta i chłopca, próbującego dowziąć towar — spekulanta i paskarz-kulak, hulający cenami dla wyższości i dezorganizacji rynku, dla wytrącenia z równowagi każdej stabilizacji. Regulującą rolę i tutaj zdobywa państwo ludowe, umacniając w chłopie tę duszę, którą wiemy „duszą człowieka pracy”. Przepisy Uchwały Rządu określają sposoby i środki dla podporządkowania żywiołowego prawa wartości prawu proporcjonalnego rozwoju gospodarki narodowej, to znaczy, że dzięki regulującej roli państwa na wolnym rynku prawo wartości i produkcja towarowa będą służyć interesom społeczeństwa budującego socjalizm.

Wprowadzenie Uchwały w życie oznacza w ekonomice:

— możliwość skutecznego ograniczenia akumulacji kapitalistycznej,

Kronika radziecka NAUKI ZJAZDU

„BYŁOBY niestudne, gdybyśmy dostrzegając wielkie sukcesy nie wzięli poważniejszą niedociętnie w rozwoju nowej literatury i sztuki. Idzie o to, że mimo znacznych sukcesów w rozwoju literatury i sztuki poziom ideowo-artystyczny wielu twórców wciąż jeszcze nie jest dostatecznie wysoki. W literaturze i sztuce pojawiają się jeszcze wiele mierznych, banalnych, a niektóre wręcz tandetnych utworów, które fałszują obraz rzeczywistości radzieckiej”.

Te słowa krytyki, wypowiedziane przez tow. Malenkowa na XIX Zjeździe KPZR w trosce o dalszy rozwój literatury radzieckiej, godnej dotychczasowych arcydzieł i podniesienie poziomu kultury radzieckiego społeczeństwa, zamocowały wśród pisarzy radzieckich żywe narady i dyskusje.

Wyżej poziom ideowy literatury! Pod takim tytułem „Literaturnaja Gazeta” drukuje sprawozdania z dyskusji twórczych w gromie pisarzy partyjnych Moskwy i Leningradu.

Obrazy stwierdziły niedostateczny związek twórców z wielkim budowlanym komunizmem. „Jednakże i bezpośrednia obserwacja życia i badania życia przez pisarzy — powiedział jeden z dyskutantów — jeszcze nie dają gwarancji, że pisarz nie popełni omyłek i nie da powierzonego mu stanowiska rzeczywistości. Pisarz powinien głęboko badać OBIEKTYWNE PRAWA ROZWOJU NASZEGO SPOŁECZEŃSTWA, nieustannie opanowywać teorię marksizmu-leninizmu.”

PLANY WYDAWNICZE NA 1953 ROK

W NOWYM roku produkcja książek zostanie zwiększona prawie o dwadzieścia milionów egzemplarzy. M. in. Państwowe Wydawnictwo Literackie (Goslitizdat), „Radziecki Pisarz”, „Młoda Gwardia” i „Wydawnictwo Państwowe Literatury Dziecinnej” (Dietyz) dadzą ponad tysiąc tytułów dzieł i ogólny nakład dwustu milionów egzemplarzy. Pojedyncze wydawnictwa zwiększają nakłady przeciętnie o 15—20 procent.

„Goslitizdat” wypuści 78 tomów dzieł klasyków rosyjskich jak Czernyszewski, Gogol, Ostrowski, Tolstoj, Gorki, Korolenko, Sibirski, Uspienski oraz szereg utworów klasyków radzieckich jak Pawlenko, Wiszniewski, Leonow, Biednyj. Wyjdzie jedynotomowy wybór Puszkina, Lermontowa, Niekrasowa, Gribojedowa, Żukowskiego, Leskowa, Stankiewiczowa i Kuprina. Ukazą się także liczne książki z literatury obecnej m. in. Don-Kichot z ilustracjami Kulczyńskiego, jedynotomowe wotyby z Szekspira, Zoli, Twaina, Bernarda Shaw’a. Literatura krajów demokracji ludowej będzie reprezentowana 50 przetłumaczonymi dziełami.

Wydawnictwo „Radziecki Pisarz” zapowiada w swoim katalogu 73 procent nowości. Duża ilość powieści podejmuje tematykę z życia klasy robotniczej. A więc ukazą się: A

A. Czalkowski zwrócił uwagę na braki w zakresie krytyki, która nie posiada własnej bujnej inicjatywy i zaowocowała się przeciętnymi osiągnięciami. Krytyka „gromi”, zapomina o szkodliwości teorii „braku konfliktów” w rzeczywistości radzieckiej, a nie pomaga pisarzom przez udzielanie szeregów rad. Partia szczerze wykrywa nieumagięła satyry. Potrzebni są nowi Gogolowie i Szczearnowie „krytycy i teracy powtarzają to bez końca, a tymczasem pisarz potrzebuje już czegoś innego — konkretnego rozpracowania, czego należy uczyć się od Gogola i Szczearnowa”.

Konferencja dostrzegła błędy w pojmowaniu zagadnienia typowości. Pisarze niektórzy (m. in. W. Groszman w powieści „O słuszną sprawę”) mylnie utożsamiają typowe z powszechnym, na skutek czego bohaterowie stają się standardowi, podobni do siebie, pozbawieni żywej i nie przemijającej indywidualności.

Sprawy sekcji twórczych poświęcił m. in. swoje wystąpienie A. Surkow „Jezeli trzysiąc siedzących tuaj komunistów — powiedział Surkow — nie będzie poczuwać się do tego, że pracą w sekcjach, to ich święty obowiązek, ich powinność jako organizatorów społecznej opinii literatury — żaden sekretariat nie nie zrobi!”

Z radzieckich konferencji pisarskich wypływają doświadczenia o raz wniosków i dla stosunków literackich w krajach demokracji ludowej, m. in. w Polsce. W równym stopniu powinno obowiązywać nas przeniesienie wskazań Zjazdu na teren naszej literatury i ciagle zglębianie praw marksizmu leninizmu.

Pierwocena „Moskwa”. W Kietlińskiej „Dzień naszego życia”, O. Ziera „Gorąca godzina”, A. Woloszyzna „Dalekie góry” i inne. Tematyka wielkich budowli komunizmu, dotąd reprezentowana zaletwie przez jedną powieść K. Pawłowskiego „Narodziny morza”, w roku wydawniczym 1953 będzie liczna wiele pozycji. M. in. ukazą się powieści A. Rybakowa „Katarzyna Woronina”, W. Fomenki „Tama”, A. Jugowa „Wielka droga”, J. Pomożowa „Lato w Zygulach”.

Sprawy wsi kolchozniczej, walki o pokój znajdują swoje odzwierciedlenie w zapowiadanych powieściach J. Kotenki (Kolchozicy), Armena (Juswa), G. Stanowa (Wolność), A. Wasiliewicza (Drogi Szlaki).

Ciekawą inicjatywę podjęło wydawnictwo „Młoda Gwardia”, które typuje do wydania w nowym roku specjalny rodzaj publikacji pt. „Pierwsza książka młodego autora”. Seria ta przyniesie 24 nowych nazwisk rosyjskich pisarzy radzieckich i pisarzy bratnich republik. Debiutanci opowiadają o życiu młodzieży radzieckiej; A. Tumulki (Spotkamy się na Waldzie) o udziale młodzieży w wielkich budowach komunizmu, A. Stiepanian (Złoty medal) o życiu szkoły, N. Muratow (Zródło szczęścia) o młodych radzieckich sportowcach E. Wilks (Ludzie jednej prawdy) o młodzieży radzieckiej Łotwy. Innowacją będzie także zaprojektowany „Almanach młodej gardii”, skupiający oddzielne utwory młodych autorów.

W związku z planem politechnizacji w zakresie wykształcenia, ogłoszonym na XIX zjeździe KPZR, „Dietyz” przygotowuje serię 83 naukowo-popularnych i naukowo-fantastycznych książek. Każda będzie zawierała do 20 — 25 arkuszy druku i zostanie wydrukowana w nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy. Tytuły: Młody elektrotechnik, Młody przyrodznawca, Zrób sam itd. W zakresie literatury artystycznej młodzieży czytelnicy otrzymają szereg powieści na temat młodzieży rzemieślniczej i fabrycznej m. in. M. Dubowa „Powieści o młodych metalowcach”, Likstanowa „Pierwsze imię”, F. Mettera „Towarzysze”. Powieści te pozwolą młodzieży zapoznać się bliżej z zagadnieniami kwalifikacji w zakresie zawodu.

Poważne miejsce w planach na 1952 rok zajmuje krytyka. M. in. ukazą się prace W. Jermilowa o tradycjach i nowatorstwie radzieckiej dramaturgii, J. Elsbęrga o dziedziectwie Gogola i Szczearnowa, S. Pietrowa o radzieckiej powieści historycznej, S. Byczkowa rozprawa o Luwie Tolstoju, monografia o Czernyszewskim.

Ogłaszanie planów wydawniczych w ZSSR przynosi wieloraką korzyść: podaje plan pod krytykę opinii czytelniczej i pozwala czytelnikom zawnazu zorientować się w oczekiwanej go lekturze. NALEŻAŁOBY TEN ZWYCZAJ WPROWADZIC W POLSCE.

Grzegorz Timofiejew

Zawiadamy wszystkich prenumeratorów naszego pisma, że począwszy od m-cy stycznia br. urzędy pocztowe oraz listonosze wliczą i miejscy przyjmują wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca, na miesiąc następny i okresy dalsze.

STROŻEK

WŁADYSŁAW BŁACHUT

NA ZAMKU W ŁAŃCUCIE

O DWIEDZIEM Łańcut. Pierwszy dzień spędziłem w Publicznej Bibliotece, kiedyś palacowej. „Krajobraz”, w jakim przebywałem tego dnia, był, jak widać, ograniczony. Książki pod strop sufitów i wódek na miasto, na wieś przez palacowe okna. Gwałtem z kierownikiem Biblioteki, zaglądałem do wielu opasłych szafek i stałem w framugach okien, sycąc się co pewien czas widokiem okolicy. Ten dzień dał mi wiele przeżyć. Zawdzięczam je kierownikowi Biblioteki. Jest nią młoda kobieta, Eugenia Czado. To ona przeprowadziła mnie przez dzieje Łańcuta (którego początki sięgają XIV stulecia).

Zdejmowała z półek książki szybko i wprawnie odnajdywała „ważne” utępy; dzięki takiej pomocy odbyłem pouczającą podróż przez wieki historii Łańcuta i okolicy. Tu w roku 1417-tyl rok Władysław Jagiełło, słuchając śpiewu słowików układał swoje trzecie, spóźnione małżeństwo z Zofią z Pleckich Granowską. Tu w XVII wieku uprawiał swoje szaleństwo największy w Rzeczypospolitej warchoł i okrutnik, „Diabeł” — Stadnicki. Tu w czasie najazdu szwedzkiego pogodzony z królem marszałek Lubomirski gościł opuszczonego przez wszystkich Jana Kazimierza. Tu wreszcie od roku 1817 rozpostarła swoje panowanie szczególnie zasłużona wobec austriackiego zaborcy dynastia Potockich...

Eugenia Czado wydobyla za kotymi tam razem grube tomiśko Łozińskiego „Prawem i Lewem”. Wprowadziła mnie w drugi nurt — dziejowy upadek miasta i wyszuku pańszczyźnianych chłopów. Pamiętam, jak zatrzymała się na dwu ostatnich rozdziałach. Jakże to odbijała się na życiu miasteczka i okolicy sobiepańska rywalizacja „Diabła” — Stadnickiego z Opalińskim? Łańcut — Przeworsk...

Pożary i zgłiszczca. Upadek rzemiosła i zbiegostwo chłopów. Bunty mieszczan łańcutkich i przejmujące lamenty bitych chłopów... Doszliśmy tak do lat międzywojennych. Jakże to sobie żył ostatni ordynat łańcutcki, hr. Alfred Potocki? Ten, który w r. 1944 w czasie lipcowej ofensywy Czerwonej Armii, uszedł z wojskami najeźdźców hitlerowskich, a uchodząc przed zemstą ludu, wwiózł z Łańcuta kilkanaście wagonów beczennych dzieł sztuki. Decydował on przed wojną o losie i życiu tysięcy ludzi. Miał kilkanaście folwarków w Rzeszowskim i dalej na wschodzie, kilka fabryk, tysiące hektarów ziemi i wszystkie lasy w okolicy. Kochał się podobno w koniach, psach i samochodach. Na weselach chłopskich śpiewano o nim.

„Jedzie pan ordynat do samej Warszawy, Jedwabiem i złotem gościnnie zasłany...”

Eugenia Czado znów wprowadza mnie w drugi nurt. Jak się bewił hr. Potocki? Jak każdy utraczony wyrafinowany i zdegenerowany. Ważniejsze, za co się bawił, za jaką i czyją cenę? Otwarła przede mną „Pamiętniki Chłopów” (wydane w r. 1935). Usłyszeliśmy głos chłopca z Łańcutkiego:

„W domu na gospodarstwie odmawia się obecnie wszystkiego. Cukru wcale się nie używa, tylko na wielkie święto a nawet sól równie oszczędnie, bo droga. O zapakach szkoda mówić. Kobiety

ZDZISŁAW POLSKIEWICZ

WĄTEK MIŁOSNY

JESZCZE nie tak dawno, bo zaledwie dwa lata temu, 18-letnia Barbara Majakówna ze wsi indywiduanej w okolicach Biłgoraja pisała: „Nie mogę się zdecydować na małżeństwo, które proponuje mi syn naszego sąsiada — Józef. Mój ojciec wychował mnie w dostatku na 8 hektarach gruntu, z których 5 przyobieczał mi po ślubie. O ile ożwiencicie „dobrze się wyprawie”. A jak tu mówić o dobrym wyprawieniu, gdy Józef jest bezrolny i nie posiada niczego. Znamy się od dziecka i nie mogę powiedzieć, żebym patrzyła na niego obojętnie. Życia jednak na tym budować nie można. Nauczył się ślusarki, ale we dwójce z dziećmi z jego pensji nie wyżyjemy”.

W pół roku później do 18-letniej dziewczyny z 5 ha użenił się bogaty sąsiad, który naprawdę był jej obojętny, ale za to miał sam 6 ha, 4 krowy i konia, czyli wszystko, co w mniemaniu wychowanej w dostatku młodej posiadaczki, wystarczyło aby znośnie „wyżyć”.

Z końcem 1951 r. z poznańskiej wsi Malichy wyjeżdża do miasta 22-letni syn bogatego średniaka Kazimierz Gład (nomen omen), do technikum elektrotechnicznego. Oto, co pisze o nim dziewczyna, którą kochał:

„Dat się przekonać, że przemysł jest ważniejszy od gospodarki (indywiduálne gospodarstwo chłopskie — przyp. Z.P.) i że tyle się tego buduje, to będzie można znaleźć dogodną pracę. Nie pomogło nawet, że rodzina odmówiła mi prawa do ziemi. Wyrzekł się własności dla niepewnej pracy. Boję się, że żyć nie będzie z czego i żal mi, że nierozważnym czynem przekreślił wszystkie moje marzenia”.

Odkryliśmy już wspólną nutę obu cytowanych listów. Jest nią drze-

z domu do domu ogień przenoszą, używając zapalniczek albo hubki. Ja zaś dzielę zapalki jedną na dwie albo nawet cztery. Nafta i lampa u nas — to luksus, bo prądzie niemożliwe nastają czasy, a tak marzyłem, że dożyję świecić światłem elektrycznym...”

Jeśli w tym głosie brzmiał jeszcze lament to w innych dokumentach, które bibliotekarka pośpiesznie zdejmowała z regałów — słychać już było zgiełk walki — krwawo tłumione strajki robotników rolnych na folwarkach Potockiego, strajki w latach 1933 — 37. Podniosła się godność chłopca w poniżeniu i nędzy trzymanego. Zapamiętałem taką anegdotę. Na kilka lat przed wojną hr. Potocki kaprysem pańskim pchnięty a raczej pańską zabawą, obiecał gromadzie Głuchów wybudować szkołę. W Głuchowie miał jeden z większych folwarków, a szkoły tam nie było, choć obowiązki na majątku ciążyły z dawnych jeszcze lat. Obiecał więc wybudować szkołę ale wraz z wyrzeźbieniem na niej herbu, słynnego podwójnego krzyża Potockich — gromada wtedy odmówiła.

A teraz, a teraz... Eugenia Czado pociągnęła mnie do okna i kazala patrzeć daleko aż po horyzont. Przed wojną było w powiecie 42 szkoły o jednym nauczycielu — dziś 54 siedmioklasówek. Przed wojną 2 średnio ogólnokształcące — dziś 4 licea i kilka średnich szkół zawodowych... Potem musiałem patrzeć bliżej. O, tam... widać przecież... w Kornikowie Ludowy Dom Kultury, a tam... widać przecież... Żołnierz z biblioteką, liczącą 700 czytelników... Prawdę mówiąc zobaczyłem mgieł dopiero to, co było najbliższe, sam Łańcut. Sensacje pańskie zniknęły... owa słynna stadnina ogierów, olśniewająca sklepiarką w defiladach tabunów, jakie ordynat sobie i „public” urządzał, nie ma już krytej ujeżdżalni, psiarń, palacowych garaży i ustronnych pawilonów.

Ale widze na to miejsce świetnie wyposażony szpital na 400 łóżek. Technikum Mechaniki Rolnej, Lecznice Zwierząt i Państwowe Zakłady Ogrodnicze.

Droga zapchana taborem chłopskich wozów, wyładowanych po brzegi cukrowym burakiem, na po ludzowych stokach palacowego wozgóra blizszczą w słońcu szeregi szklanych domków, gdzie agrotechnicy aklimatyzują szczer winnej latorośli. A tuż za oknami biblioteki widać wychowanków Technikum Rolnego. Idą grupkami, taszcząc wypchane książkami tektki, them ich spaceru są drzewa parku, aleje i powilony. Na tym tle nie tak jeszcze dawno spacerowały goście, cenni goście hr. Potockiego... byli król hiszpański Alfons XIII... Goering... Ribbentrop... wówczas wstęp do parku był dla mieszkańców Łańcuta zamknięty na cztery spusty.

Kiedy wieczorem wyszedłem z Biblioteki i dla orzeźwienia się odbyłem i ja spacer ze wozgóra południowego czy północnego ujrzałem nad okolicą pajęczą sieć drgających świateł.

— Nieznany mi autorze z „Pamiętników Chłopów” biedniaku z Łańcuta, jeśliś dożył naszych czasów, toż i „dożył świecić światłem elektrycznym”. I nie tylko tyle, nie tylko...

Władysław Błachut

BRONISŁAW CHEĆIŃSKI

BAJKA O WILKU I JEGO URZĘDZIE

Już coraz głośniejszy slychać, że wilk samowładca 'siej rządzi. Że nie słucha głosów krytyki. Że zaniedbuje kadry, brzuździ i błądzi. Że w coraz szpetniejsze brnie nawyki. Że kumoterstwo panuje w urzędzie. Że żona jego, wileczyka też, judzi i nos swój wycyka wszędzie, rządzi się jak ta szara gęś. Już najcierpliwszy na to się zżyma, że wilk i żonę na urządzie trzyma.

Węc rada, a w jej wyniku wybrano kosa rzecznikiem, wszelkie skargi przedkładać jemu, on referuje na plenum.

W głębi boru, w księżycu blasku, na głównej leśnej polanie, zeszyli się zwierzęta przed dwunastą, rozpoczęło się zebranie. Przedstawiciele różnych szczebli gromadnie się tu zbiegli — wokół pnia cały lesny aktyw. Oj, będzie ci wilku ciepło, nie ukryjesz ty swoich praktyk.

Zabrał głos kozioł, pewny poparcia i śmiało prawdę wygarnia. — Buzia na wilka, woła otwarcie. — To on jest winien! On się panoszy! Przez niego leśny urząd zmarniał.

Wilk nie chował się. Po swoich patrzy, a wiedzą oni co to znaczy.

Gazetka gminna

MAGIK Z KOLONII IASNOŹC

Kiedy jeszcze przed wojną byłem w cyrku, to widziałem takiego magika, który wkładał do cylindra stare reżakty, które popierały wyroby tego Monopola. Sądziłem jednak, że miaby z tym wiele kłopotu, a mianowicie komu przyznać pierwszeństwo, jednokom czy też kolektywom, gromadom czy też powiatom? Być może, że do współzawodnictwa stanęliby ludzie, którzy w tym jednym mogliby się wykazać „zalekami”.

Nim jednak Monopol poczyna badania w terenie celem stworzenia takiej „Listy” pomocy mi na skromnym odcinku powiatu biłostockiego i wskazywać jako przykład gromadzie Knyzyn. Kogo byśmy stamtąd wpisali na te listy? Jaków czy tych, którzy piele popierają? Raczej chyba tych drugich jako źródła. A jest tak: Gmina Spółdzielni niechętnie sprzedaje klientom, woli sprzedać „hurtową” na tzw. „gospody” i Urodzi czy nie urodzi, widać w Spółdzielni po cenach normalnych, a sprzedając chętnym po cenach wyż-

Różne są sposoby zachęcania do kontraktacji. Jedni z meżow zaufania apelują do ambicji gospodarskiej, drudzy wskazują na możliwość wprowadzenia nowych upraw, a jeszcze inni wskazują na doradne korzyści, jakie z kontraktacji płyną, zarówno dla kontraktującego jak i dla kontrahenta. Obrótność i wymowa niejednokrotnie zalecają cuda i łatwego też opinię powzięcia wos, że kto skądnie agituje, ten wielu chętnych znajduje.

Zdarzają się ludzie, którzy chcą być oryginalni w metodach takiej agitacji. Do nich zalicza się niewątpliwie niejaki Józef Hajduk z gromady Kondratów. Nowy Kościół (pow. Złotoryjski), który wpadł na „doskonałą” koncepcję. Nie przekazuje. Nie agituje. Nie zachęca. Cóż więc robi? Posiuchający, jaki przebieg ma jego praca jako męża zaufania.

Lipiec 1952. Hajduk przychodzi do jednego z gospodarzy gromady. Pyta. — Mozebyście, sąsiadzie zakontraktowali rzepak? Nie odpowiedziałby Wam o Gospodzie, który kontraktuje już len, buraki, kartofle i jęczmień, niesmiało odpowiada.

— Rzepak? Na mojej ziemi? Przecież to góra i sam kamień. Nie urodzi. — Wiedziałem, że nie urodzi, ale wiele nie obchodzi, byłbym miał plan wypielony na papierze. I tak ta swoista „agitacja” rozpoczęła się od słówka do słówka, a skonczyła na krzyku i grobach oszalałego gospodarza. Gospodni podenerwowała się i powiedziała Hajdukowi, że jest psem nie człowiekiem. Najucztr do przewodniczącego GRN został wezwany

Z geografii można się dowiedzieć o „wędrujących piaszczakach”, które przenoszą się z miejsca na miejsce, ale skutki wiatrów. Gdy ktoś jednak będzie pisał o geografii gminy Lapanów, pow. Bochnia, powinien się zająć fenomenem geograficznym tamtych stron, a mianowicie wędrującą drogą. Prądzie powiędrzawczy dzień już nawet nie ma, ale ponieważ historia to nie tak dawna, więc zapoznajmy z nią wszystkich.

Na kilometrze 46 biegu rzeki Raby, mniej więcej około 200 metrów od brzegu, prowadziła kiedyś droga gminna, która łączyła gromadę Kłeczową, Jaroszkówkę i Kobylec z Podolanami, gm. Gdów. W czasie okupacji rzeka Raba nie tylko szeroko rozlała swe wody, ale zbliżyła się blisko do tej drogi. Rzecz jasna, że droga na swym miejscu pozostała. Na razie wędrowała rzeka. W 1946 r. mieszkańcy gromady Kłeczowa zwrócili się z prośbą do Okręgowej Dyrekcji Dróg Wodnych w Tarnowie z prośbą o zabezpieczenie drogi. Prośba nie odniosła skutku. Oczywiście jest sprawa bezsporna, że gdyby odniosła skutek, to byśmy przecież o tej całej historii nie wiedzieli. Ale przyszły nowe powódzie w 1948 i 1949 roku i łaska rzeka drogę wzięła ze sobą. Komunikacja między wioskami została przerwana.

Wydobiliśmy jednak momenty pozytywne tej historii. Nie narzekamy na rzekę, wskazamy na ludzi, którzy poparli ją w tej zachłanności. W roku 1950 z wiosną rozpoczęto prace nad uregulowaniem Raby na tym odcinku. Zrobiono przepiók w dawny krycie, lecz nie zabezpieczono go jak należy i gdy

— To ślicznie... czekamy na młode kadry... popieramy młode kadry, tylko, eha, mienika bołeczka... nie mamy dla pana gniazdka. — Co za gniazdko? — He, he, pan jest za poważy na swój wiek młodego człowieka... pan nie zna się na mlych powieściach... cniecniem powiedzieć, że nie mamy... mieszkanka. — No więc może... na razie w jakimś hotelu robotniczym... — Hotel?... Hotel?... chcę pana oszczędzić subiekcji, pan wie, jaka tam burokracja... Znajdujemy lepsze wyjście. Skierujemy pana do Tarnowa. Prowincja cniecniem powiedzieć, „skierować”. Musi pan wrócić do Krakowa i postawić się. Rozumie pan postawić się — poklepał przyjaźnie Marka po ramieniu.

„Ale Marek postanowił postawić się na miejscu w Tarnowie. Zaczął się pieklić, aż przerażony personalnik powiedział: — Pan do nas, pan im uwierzysz tym z Tarnowa? Oni tam przecież słyną z burokracji.”

— No więc, gdzie mam jechać? Może teraz do Lublina?... Mał się dalej tuc jak Marek po piekle! — Nie, mi nie jesteśmy burokratami, my panu poradzimy z sercem.

Jedź pan do domu, do mamusi... Mamusia krówkę wydoi, tatusi świnkę zabije, można żyć młody człowieku! — Co miał robić Marek? Wrócić do domu z miesięczną wędrowką. Ale nie uważa swojej sprawy za załatwioną. My też nie.

Mikołaj Gryzma.

Kozioł gada jak prokurator, lecz nikt mu brawa nie bije za to. Już slychać szepty, głosy współczucia, że kozioł zżył się na wilka rzuca, że nie wypada na podwładnego... Cóż wilk — Są gorsi jeszcze od niego.

Nim kozioł skończył mowę rzetelną, grono podwładnych miał wilk za sobą. Cóż to się stało z czeredą dzielną? Cóż oni na Boga robią?

Ano tak — w krytycznej chwili — widzą, że wilka nastraszył, ale potępie go zupełnie. Nuż wiedz, że z urzędu zdejmie, nuż przyjdzie drugi, kto wie jaki. Nie każdy miał znów przy wilku biedę: Dzięk przy nim uszaknół ochlap niejedni i lisi i jastrząb z wydziału „Plaki”. Kto tylko z wilkiem dobrze trzyma, ten jeszcze długo przy nim wytrzyma.

Zresztą ja jeden nie poradzę, inni po cichu wilkowi kadzą. Wystąpić teraz przeciwko niemu, on się odegra po swojemu.

Ostre spojrzenia kozła boda, już kozioł przestał ruszać brodą. Cóż, kozła sprawa stoi marnie, kto sprytny się do wilka garnie.

Tak to jest w bajce, ale w „terenie” dzieje się często podobnie, czy to w GS-le, czy w GRN-le, kumotry żyją zgodnie.

ZŁOTA LISTA PMS-u

Monopol Spirytusowy stanowiąc powiniem wprowadzić „Złotą Listę” na której by umieszczali przede wszystkim tych, którzy popierają wyroby tego Monopola. Sądziłem jednak, że miaby z tym wiele kłopotu, a mianowicie komu przyznać pierwszeństwo, jednokom czy też kolektywom, gromadom czy też powiatom? Być może, że do współzawodnictwa stanęliby ludzie, którzy w tym jednym mogliby się wykazać „zalekami”.

Nim jednak Monopol poczyna badania w terenie celem stworzenia takiej „Listy” pomocy mi na skromnym odcinku powiatu biłostockiego i wskazywać jako przykład gromadzie Knyzyn. Kogo byśmy stamtąd wpisali na te listy? Jaków czy tych, którzy piele popierają? Raczej chyba tych drugich jako źródła. A jest tak: Gmina Spółdzielni niechętnie sprzedaje klientom, woli sprzedać „hurtową” na tzw. „gospody” i Urodzi czy nie urodzi, widać w Spółdzielni po cenach normalnych, a sprzedając chętnym po cenach wyż-

Różne są sposoby zachęcania do kontraktacji. Jedni z meżow zaufania apelują do ambicji gospodarskiej, drudzy wskazują na możliwość wprowadzenia nowych upraw, a jeszcze inni wskazują na doradne korzyści, jakie z kontraktacji płyną, zarówno dla kontraktującego jak i dla kontrahenta. Obrótność i wymowa niejednokrotnie zalecają cuda i łatwego też opinię powzięcia wos, że kto skądnie agituje, ten wielu chętnych znajduje.

Lipiec 1952. Hajduk przychodzi do jednego z gospodarzy gromady. Pyta. — Mozebyście, sąsiadzie zakontraktowali rzepak? Nie odpowiedziałby Wam o Gospodzie, który kontraktuje już len, buraki, kartofle i jęczmień, niesmiało odpowiada.

— Rzepak? Na mojej ziemi? Przecież to góra i sam kamień. Nie urodzi. — Wiedziałem, że nie urodzi, ale wiele nie obchodzi, byłbym miał plan wypielony na papierze. I tak ta swoista „agitacja” rozpoczęła się od słówka do słówka, a skonczyła na krzyku i grobach oszalałego gospodarza. Gospodni podenerwowała się i powiedziała Hajdukowi, że jest psem nie człowiekiem. Najucztr do przewodniczącego GRN został wezwany

Z geografii można się dowiedzieć o „wędrujących piaszczakach”, które przenoszą się z miejsca na miejsce, ale skutki wiatrów. Gdy ktoś jednak będzie pisał o geografii gminy Lapanów, pow. Bochnia, powinien się zająć fenomenem geograficznym tamtych stron, a mianowicie wędrującą drogą. Prądzie powiędrzawczy dzień już nawet nie ma, ale ponieważ historia to nie tak dawna, więc zapoznajmy z nią wszystkich.

Na kilometrze 46 biegu rzeki Raby, mniej więcej około 200 metrów od brzegu, prowadziła kiedyś droga gminna, która łączyła gromadę Kłeczową, Jaroszkówkę i Kobylec z Podolanami, gm. Gdów. W czasie okupacji rzeka Raba nie tylko szeroko rozlała swe wody, ale zbliżyła się blisko do tej drogi. Rzecz jasna, że droga na swym miejscu pozostała. Na razie wędrowała rzeka. W 1946 r. mieszkańcy gromady Kłeczowa zwrócili się z prośbą do Okręgowej Dyrekcji Dróg Wodnych w Tarnowie z prośbą o zabezpieczenie drogi. Prośba nie odniosła skutku. Oczywiście jest sprawa bezsporna, że gdyby odniosła skutek, to byśmy przecież o tej całej historii nie wiedzieli. Ale przyszły nowe powódzie w 1948 i 1949 roku i łaska rzeka drogę wzięła ze sobą. Komunikacja między wioskami została przerwana.

Wydobiliśmy jednak momenty pozytywne tej historii. Nie narzekamy na rzekę, wskazamy na ludzi, którzy poparli ją w tej zachłanności. W roku 1950 z wiosną rozpoczęto prace nad uregulowaniem Raby na tym odcinku. Zrobiono przepiók w dawny krycie, lecz nie zabezpieczono go jak należy i gdy

— To ślicznie... czekamy na młode kadry... popieramy młode kadry, tylko, eha, mienika bołeczka... nie mamy dla pana gniazdka. — Co za gniazdko? — He, he, pan jest za poważy na swój wiek młodego człowieka... pan nie zna się na mlych powieściach... cniecniem powiedzieć, że nie mamy... mieszkanka. — No więc może... na razie w jakimś hotelu robotniczym... — Hotel?... Hotel?... chcę pana oszczędzić subiekcji, pan wie, jaka tam burokracja... Znajdujemy lepsze wyjście. Skierujemy pana do Tarnowa. Prowincja cniecniem powiedzieć, „skierować”. Musi pan wrócić do Krakowa i postawić się. Rozumie pan postawić się — poklepał przyjaźnie Marka po ramieniu.

„Ale Marek postanowił postawić się na miejscu w Tarnowie. Zaczął się pieklić, aż przerażony personalnik powiedział: — Pan do nas, pan im uwierzysz tym z Tarnowa? Oni tam przecież słyną z burokracji.”

— No więc, gdzie mam jechać? Może teraz do Lublina?... Mał się dalej tuc jak Marek po piekle! — Nie, mi nie jesteśmy burokratami, my panu poradzimy z sercem.

Jedź pan do domu, do mamusi... Mamusia krówkę wydoi, tatusi świnkę zabije, można żyć młody człowieku! — Co miał robić Marek? Wrócić do domu z miesięczną wędrowką. Ale nie uważa swojej sprawy za załatwioną. My też nie.

Mikołaj Gryzma.

JACEK MICHNIAK

DO NOWEJ HUTY!

ROMADA Działisz pod Giełwontem, to tam, gdzie koniec ziemi, a początek wody i nieba. Toteż ziemi tu niewiele i to kiepskiej, rodzi ledwie owies i ziemniaki. Trawy dobre nawet się adają, lecz z powodu ostrego klimatu górskiego powoli rosną i sianokosy odbywają się w lipcu — pierwszy pokos, drugi zaś bywa w wrześniu lub październiku, dlatego już słaby. Przeważnie jednak zbiory siana kończą się na jednym pokosie.

Znwa też późno — od połowy sierpnia, w tym roku były jeszcze później — z końcem sierpnia i trwały do października, a nawet dłużej. Podorywkę nie było już czasu wykonać, gdyż z wykopkami trzeba przedkładać się uwinąć, żeby ziemniaków śnieg nie zasypał, co się często u nas zdarza. Wydajność nasza z 1 ha wynosi u mistrzów do 600 kg ziemniaków, wysoka do 350 — 400 kg, a średnio do 80 q.

Wszystki prawie mieszkańcy, nawet 5-hektarowi, muszą żywność dokupywać. Aby zaś „dobyć” na to gotówkę, muszą szukać źródeł dochodu poza gospodarstką.

Gromady położone nad Czarnym Dunajcem mają zarolek wystarczający przy eksploatacji kamienia i żwiru, ale gromady oddalone od rzeki i miasta pozbawione są zarobku na miejscu. Latem, o ile jest urodzaj na grzyby i jagody leśne, jest z tego korzyść. Część ludności zarobkuje w budownictwie państwowym zakopiańskim, część w budownictwie prywatnym miejscowym. Ale luwa część młodzieży zdolnej do zawodowej pracy — z powodu braku pracy na miejscu — trzyma się krowiego ogona, w roli pastuchów. A nie są to bynajmniej mały, wielu z nich ma talent „Antków, o jakich pisał Bolesław Prus. Mogliby zdobyć gośdiny zarobek i zarobek, na przykład w Nowej Hucie, gdyby chcieli, gdyby im rodzice dobrze doradzili. Niestety, rodzice raczej odradzają córkom i synom. Boją się, aby się czasem nie zaraził socjalizmem, albo wariy w Boganie utracili. Tymczasem przy krowach najbardziej się demoralizują, tak dobrze kłną i pyskują, że i niewierzący musieli być się rumienić i uszy zatykać.

Baczenie rodzice, że kiedywszystko u nas idzie do nowego i wszystko jest w ruchu dla pożytku ogólnego, z waszego zakazania synów i córek na poloninach wytworzą się to, co przy zakiszaniu kapusty — smród. Sami skazujecie niewyżyta energię młodzieży na chuligaństwo, przez które ona zdąży często do zatraty kultury.

A Nowa Huta rośnie i zaprasza robotników nowych, których jej wciąż jeszcze brak.

Zwiedziłem Nową Hutę pod koniec czerwca w ub. r.

Oczom własnym nie wierzyłem, że jest ona tak wielkim obiektem i że w ciągu 3-4 lat mogła zamienić pola w miasto fabryczne i to miasto już piękne i okazałe, choć jeszcze nie wykończzone. Widziałem, w jakich warunkach żyją robotnicy Nowej Huty — nie w suternach czy na poddaszach — lecz w pokojach komfortowo wyposażonych.

Widziałem ich przy pracy, gdzie nie muszą dźwigać cełty i wapna, maszyna za nich to robi i ziemię maszyną im kopie i ładuje. A robotnik występuje raczej w roli maszynisty.

Widziałem żelazo i cement, o które tak wola wieść i dopiero wtedy zrozumiałem, że jest ono tam konieczne do zbudowania naszej potężnej huty, a w całym kraju potężnym przemysłu. Dziś naszym pragnieniem powinno być pomóc zbudować jak najprędzej tę naszą, krakowską, podhalaska hutę, aby poczęła rodzić dużo żelaza i stali dla wsi i dla przemysłu.

Apeluję więc do przeludnionych wiosek Podhala, pozbawionych w miejscu zarobków, aby młodzież męska czy żeńska nie marnowała czasu przy krowiskim ognie. Gdzie dwoje, niech jedno jedzie do Nowej Huty, znajdzie zarobek, ożdziwy, będzie dobrze żyć i rodzicom pomoże na gospodarce pieniądzem, którego u nas potrzeba. Zbogaci swoją wieś i sam siebie, a przyczyni się do przyspieszenia budowy Nowej Huty, do jej uruchomienia i zaopatrzenia kraju w żelazo. Nauczycy się zawodu na kursie miejscowym w Nowej Hucie i z Antka, co miał szałkalc do maszyny, ale nie miał warunków, stanie się człowiekiem wartościowym, fachowcem budującym lepszą przyszłość ojczyźnie i pokój w świecie.

A warunki pracy i płacy w N. Hucie są dobre: ca wynosi od 500 zł do 4 tysięcy zł według fachu i zdolności (płace wg norm przed nowym Dekretem). Dla młodych niewykwalifikowanych, uzdławane są w miejscu kursy budowlane, mechaniczne i inne 5-cio miesięczne.

Więc nie biedujcie na usi przeludnionej, nie czekajcie nim grzyby urosną i jagody, bo jeśli urosną to je male dzieci pozbiarają. Nie bumelujcie po wsi. Zbierzcie się i jedźcie do Nowej Huty, a nie poznajecie, i wy, młodzi, którzy tam znajdziecie zarobek, jak i wy, którzy zostaniecie na roli.

Jaek Michniak spód Giełwontu

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
 Redaguje Komitet
 Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 7-52-50. Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7.
 Tel.: Red. Nacz. 727-86. Tel.: Redakcji 751-80 cod. wewnętrzny 91, 93.
 W arunk i p renumeracji:
 miesięcznie — 4 zł kwartalnie — 12 zł półrocznie — 24 zł, rocznie — 48 zł.
 Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.

RSW „PRASA” Warszawa, Marszałkowska 3/5 4-B-10311